



NA KAŻDE 10 tys. MIESZKAŃCÓW

„Zdrowych pouczać, zagrożonych badać i obserwować, chorym torować drogę do instytucji leczniczych”. Tak brzmiał program działalności, sformułowany przez dr Seweryna Sterlinga w 1919 roku, kiedy to władze miasta Łodzi powołały go na kierownika Sekcji do Walki z Gruźlicą. Sekcja ta była pierwszą urzędową placówką do walki z tą groźną chorobą w dziejach naszego miasta.

Przedtem jeszcze, od 1908 roku, działała w Łodzi Liga Przeciwgruźlicza. Była to jednak tylko na pół prywatna instytucja filantropijna, założona przez czterech łódzkich lekarzy: Jana Pieniżkę, Stanisława Skalskiego, Seweryna Sterlinga i Jana Wisłockiego. Liga ta — według słów Seweryna Sterlinga — „wydawała spluwaczki, kubki, szczoteczki do zębów, składane łóżka, sienniki, mleko, tran, kefir. Leków nie wydawała, nie kierowała do szpitala ani do sanatorium, bo tych w Łodzi nie było”.

nia problemu. Można by, gdyby nie to, że w wyniku rozwiązania problemu wyrósł drugi — niemniej poważny i trudny.

Umiemy już skutecznie leczyć, mniej skutecznie natomiast umiemy zapobiegać gruźlicy. Są wprawdzie szpecjonki, polepszają się warunki mieszkaniowe i higieniczne ludności (nie było jakiegoś czasu walczyć z gruźlicą). Ludzie są coraz lepiej odżywieni, a przez to bardziej odporni na zakażenie.

Mimo to jednak, liczba nowych zachorowań na gruźlicę zmniejsza się w tempie znacznie wolniejszym niż liczba zgonów. Postęp tutaj nie liczy się w wielokrotnościach, a tylko w procentach i ułamkach procentu. Wynosi w tej chwili ta liczba nowo wykrywanych zachorowań 31,9 na każde 10 tys. mieszkańców.

Możemy ten rachunek uczynić bardziej namacalnym, jeżeli posłużymy się liczbą

Trudno dziś uwierzyć, jak straszna choroba była gruźlica i to szczególnie w łódzkich warunkach. W 1919 roku, a więc wtedy, gdy powstała Sekcja do Walki z Gruźlicą, Łódź pobila rekord absolutny wśród miast europejskich. Umieralność na gruźlicę, według statystycznych danych z tego roku, wyniosła 82 zgony na 10 tys. mieszkańców.

I stąd jeszcze dziś, dla ludzi starszych, słowo „gruźlica” brzmi niemal identycznie jak „cholera”. Dla młodszych za to, gruźlica staje się pomalą jakąś odmianą grypy, czy czegoś podobnego. Może rzeczywiście jesteśmy już tego blisko, a przynajmniej tak się nam mogło wydawać przed kilku laty, w erze odkryć całej serii wspólnych leków przeciwgruźliczych. Ale nie przesadzajmy: gruźlica nadal jest groźna.

Złotymi zgłoskami zapisali się w dziejach naszego miasta lekarze — społecznicy, którzy wszystkie swoje siły, zdrowie i życie poświęcili walce z gruźlicą. Należy wśród nich wymienić na pierwszym miejscu prof. dr. Jadwigę Szustrową, wraz z jej mężem, która od chwili przybycia do Łodzi, od 1924 roku, trwała 37 lat nieprzerwanie na swoim posterunku. I na tym posterunku zmarła w 1961 roku.

Podobną wdzięczność winni jesteśmy Ryszardowi Kunickiemu, który do akcji prowadzonej głównie przez działaczy Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, potrafił włączyć wysiłki lekarzy ubezpieczalni i który stworzył nowy styl pracy poradni przeciwgruźliczych. Ich zmagania i wysiłki ich towarzyszy materializują się w postaci pierwszego w Łodzi, szpitala przeciwgruźliczego, a następnie dwóch oddziałów dla dorosłych i jednego dla dzieci. Masto zdobywa się na sanatoria w Lagiewnikach i na Chojnach. Ubezpieczalnia Społeczna buduje sanatorium w Tuszyńsku.

A zresztą, można to streścić: w 1939 roku umieralność na gruźlicę spadła do 18 zgonów na 10 tys. mieszkańców.

owoc tej ogromnej pracy. W 1945 roku statystyka alarmuje: umieralność skoczyła do 50 zgonów na 10 tys. mieszkańców. Ekipy lekarzy Duńskiego Czerwonego Krzyża, który pośpieszył Łodzi z pomocą, stwierdzają w 1947 roku następny, przerażający fakt: 80 proc. łódzkich dzieci, w wieku do 15 lat, było zakażonych gruźlicą.



Szyfrowa niemal pracę trzeba podjąć od nowa. Tym razem jest już trochę łatwiej niż w beznadziejnych latach międzywojennych. Państwo ludowe, mimo zniszczeń i strat wojennych, łoży ogromne środki: na szpitale, sanatoria, preventoria, na leki i na wyposażenie poradni przeciwgruźliczych, na szkolenie lekarzy i na racjonalne żywienie chorych. Sejm uchwała wreszcie ustawę, mocą której ogłasza gruźlicę chorobą społeczną i zapewnia wszelkie konieczne przywileje, umożliwiające skuteczne leczenie tej choroby. Z pomocą przychodzi wreszcie genialna myśl ludzka: wynaleziona została cała seria środków hamujących rozwój prątków gruźlicy. Kosztują te środki grube miliony złotych, pokrywają je jednak, na mocy wyżej wspomnianej ustawy, budżet państwa.

I znów statystyka: umieralność na gruźlicę w Łodzi wynosi obecnie 5 zgonów na 10 tys. mieszkańców.

Lata wojny, głodu i niedostatku, celowe, biologiczne wyniszczanie ludności przez hitlerowskiego okupanta, zniszczyły

Można by więc zadać w trybie i triumfalnie ogłosić światu, że już niewiele dzieli nas od całkowitego rozwiązania

mi bezwzględnie, dotyczącymi pierwszych sześciu miesięcy br. w Łodzi. Wykryto mianowicie w tym czasie 1.060 nowych przypadków gruźlicy, a zanotowano jednocześnie niewiele ponad trzydzieści zgonów. W ten sposób, rejestry Centralnej Poradni Przeciwgruźliczej dla Łodzi, powiększył się o 700 nazwisk.

Powiększa się tak z roku na rok, z tygodnia na tydzień, i liczy już obecnie prawie 28 tysięcy podopiecznych. I to jest właśnie ten drugi, ostry problem. W szczegółach, podanych oczywiście w dużym uproszczeniu, wygląda on mniej więcej tak:

Półowa tych chorych pracuje normalnie, najczęściej na tych samych stanowiskach, na jakich pracowali przed zachorowaniem. Pewną ich część można uważać za wyleczonych, chociaż ci powinni co jakiś okres poddać się badaniom kontrolnym. Pozostali pracujący leczą się ambulatoryjnie, korzystając co pewien czas z tzw. czasów zdrowotnych (FWP w nieco ulepszonej i przedłużonej wersji). Tak

Dalszy ciąg na str. 7

WIESŁAW BEK

Perspektywy rozwoju
stosunków W-Z

POKÓJ NIE PRZYNOSI PRZEGRANEJ

Perspektywy rozwoju stosunków Wschód — Zachód, a szczególnie Związek Radziecki — Stany Zjednoczone są obecnie najczęstszym tematem rozważań publicystów i komentatorów międzynarodowych. Objęcie władzy prezydenckiej przez Lyndona Johnsona w USA, wcześniejsze zmiany gabinetowe w Wielkiej Brytanii, utworzenie centrolewicowego rządu we Włoszech — wszystko to zachęca do licznych spekulacji na temat najbliższego rozwoju wydarzeń.

Oczywiście, najczęściej powtarza się pytanie: czy będzie atmosfera do dalszych porozumień, tak pomysłnie zapoczątkowanych układem moskiewskim?

Kilka faktów wydaje się wskazywać, że odpowiedź na to pytanie może być pozytywna.

Największą niewiadomą w polityce międzynarodowej postawiły następstwa tragicznych wydarzeń w Dallas. Dlatego też z wielką uwagą opinia publiczna całego świata śledzi pierwsze kroki nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kilkanaście zaledwie dni prezydentury Johnsona nie może niczego przesądzać, może być jednak pewna wskazówka co do najbliższych zamierzeń Stanów Zjednoczonych. Szybka odpowiedź prez. Johnsona na depeszę kondolencyjną premiera Chruszczowa, niemal godzin na rozmowa z wicepremierem Mikojańem, a także jego przemówienie na wspólnym

Dokończenie na str. 2

Ludzie i książki

JAN KOPROWSKI

PRACA i co z tego WYNIKA?

Byłem niedawno na spotkaniu w pięknym nowo zbudowanym Domu Nauczyciela w Piotrkowie. W czasie dyskusji zabrała głos jedna z pań, wykładająca literaturę i język polski w szkole średniej i powiedziała między innymi: „Nie mam zamiaru wychwalać książek z okresu schematyzmu. Były one niedobre, najlepszy dowód, że się ich obecnie nie wznawia. Ale jednego żałuję, że piszący dziś autorzy, młodzi i starzy, nie opisują w swoich utworach życia materialnego człowieka i jego pracy.”

Zastanowiły mnie te słowa. Faktycznie. Nasza codzienna rzeczywistość, nasza praca, znikły z kart powieści i opowiadań. Autorzy albo umiejscawiają akcję swoich utworów za granicą (Idzie skazano po górach Andrzejewskiego dzieje się we Francji), albo uciekają w lata międzywojenne (Czarna róża Strzykowski), albo w ogóle lekceważą realia współczesnego życia (Dzień oszusta Iredyńskiego). Książki wielu autorów pozabawione są opisu konkretnej rzeczywistości, mogą się dziać wszędzie i nigdzie, tworzą świat abstrakcyjny, nie istniejący.

Toteż bardzo się ucieszyłem, gdy z Katowic przyszło zaproszenie na ogólnopolskie seminarium, poświęcone problemom pracy w literaturze polskiej. W ciągu dwóch dni (2-3 grudnia br.) pisarze z różnych ośrodków kraju dyskutowali żywo i zawiście.

Materiału do dyskusji dostarczyły dwa referaty śląskich autorów: Bolesława Lubosza „Perspektywy prozy realistycznej” i Witolda Nawrockiego „Tematyka pracy w młodej literaturze polskiej”. Zwłaszcza referat drugi, obszerny i dobrze podbudowany, sięgający wstecz do filozofii pracy w ujęciu Stanisława Brzozowskiego, zawierał wiele faktów i spostrzeżeń dostatecznie szczegółowych, by pobudzić zebranych do wystąpień.

Co do mnie, wyznaje, iż nie od dziś myślę o tych sprawach. Jedną z przyczyn nieobecności tematyki pracy w literaturze współczesnej widziałbym w biografii pisarzy. Jeśli pisarz w życiu swoim nie zetknął się nigdy z pracą fizyczną i nie ma o niej żadnego pojęcia, trudno, aby właśnie o tym pisał. Oczywiście pisarz nie musi wszystkich przeżywać konkretnie i dosłownie, od czegoś talent i potęga wyobraźni. Przypomina mi się Adam Polewka, który na pamiętnym zjeździe literatów w Szczecinie (1949) zapytywał z trybuny: „Czy jeśli będę chciał napisać powieść o ministrze, muszę wprawdzie być ministrem? Tak, ale to jednak nie to samo. Być pisarzem o pracy nie wystarczy wiedza ogólna. Do tego potrzeba zupełnie konkretnej i szczegółowej wiedzy, której nie da się opanować „czysto myślowo”. Jakże więc stąd wniosek? Czy pisarze znowu mają pójść do hut i kopalni na studia terenowe? Nie wiem, czy akurat wtedy droga, ale bez poznania pracy ludzkiej, nie można jej dobrze i przekonująco opisać.

Dalszy ciąg na str. 2

XIV PLENUM i MY

7 grudnia odbyła się w Komitecie Łódzkim PZPR narada poświęcona problematyce XIV Plenum. Obradom przewodniczyła I sekretarz KŁ PZPR tow. M. Tarkówna-Majkowska. Uczestniczyli w nich także ministrowie handlu wewnętrznego tow. M. Lesz, Sekretarz KŁ M. Kuliński przedstawił problematykę Plenum. Dyskusja, w której wzięli udział przedstawiciele komisji ekonomicznych przy komitetach dzielnicowych oraz dyrektorzy niektórych zakładów, dotyczyła głównie zadań, jakie stoją przed łódzkim przemysłem w świetle uchwał XIV Plenum KC partii.

Zagadnienia, które poruszali mówcy, można ująć w cztery zasadnicze grupy: oszczędna i racjonalna gospodarka surowcowo-materiałowa, dysproporcje między wzrostem wydajności pracy a funduszem płac, błędy w planowaniu inwestycyjnym oraz niewłaściwa polityka kadrowa w dziale postępu technicznego (mówił o tym ciekawie i żywo tow. Adamski, sekretarz KD Polesie).

Ta ostatnia sprawa, postępu technicznego (wiąże się ona, jak i szereg innych z zagadnieniem odpowiedzialności), jest szczególnie niepokojąca. Wprawdzie przykłady, które przytoczył tow. Adamski i inni mówcy, nie świadczą jeszcze o jej epidemicznym charakterze, wystarczą jednak, by wzbudzić uzasadnione znaki zapytania. Bowiem nie można pominąć milczeniem zjawiska, które niektórzy nazywają „ucieczką

inżynierów”. Niektóre zakłady woła (nie wiadomo dla jakich przyczyn) zatrudnić na odpowiedzialnym stanowisku człowieka bez odpowiedniego wykształcenia zamiast potrzebnego im fachowca — inżyniera. Sprawa jest szersza niż to zakłada prosty meldunek o ucieczce czy też nie przyjęciu do zakładu jednego inżyniera, ale przecież warto zwrócić uwagę na związek między postępowaniem technicznym w zakładzie, a doborom kadry fachowców.

Nie sposób sobie wyobrazić dziś funkcjonowania nowoczesnego przedsiębiorstwa bez pewnej liczby wysoko wykwalifikowanych specjalistów. Pozycja i rola specjalisty zwłaszcza w naszych uświadomionych zakładach pracy musi być wysoko postawiona. Zwracać na to uwagę niejednokrotnie tow. Władysław Gomułka. Zajmuje się tym zagadnieniem coraz szerzej nasza literatura zawodowa i naukowa. Aleksander Matejko w ciekawej i cennej

książce Socjologia zakładu pracy (jakże dziś aktualnej!) pisze, że liczba i jakość kadry specjalistów jest „bardzo istotnym problemem pokojowej rywalizacji między państwami socjalistycznymi oraz państwami kapitalistycznymi”. A. Matejko zwraca uwagę, że jedna z podstawowych bolączek ster rządzących USA jest problem niedostatku wysoko wykwalifikowanych kadr w stosunku do stale rosnących potrzeb. „Bez ekspertów nie może się dziś obyć żadna poważniejsza instytucja. Oni właśnie dostarczają danych nie-

Dalszy ciąg
na str. 7

Ostrożnie,
świeżo
napisane



W bogatym już dorobku Igora Sikiryckiego zanotować trzeba tomiki poezji, satyr, bajek dla dzieci (m. in.: O komarze i orkiestrze, Szewce czarodziej, Stara kuźnia, Przygody rycerza Chwalipięty). Jest również Sikirycki znakomitą przekładownicą — przypomnijmy choćby ostatni przekład Wilezia w tygrysięj skórze (Szota Rustaweli) czy Konika garbuska Piotra P. Jerszowa. Ostatnio Sikirycki wydał nowy tom satyr **Ostrożnie, świeżo napisane**.

W związku z poprzednim tomikiem wierszy satyrycznych Sikiryckiego Igraszkę i fraszki Marian Piechal napisał w „Nowej Kulturze”, że Sikirycki jest satyrykiem o dość szerokiej i różnorodnej skali form i treści. „Wielkość form i gatunków (od dystychu poprzez bardziej złożoną strofę do rymowanej kłozonki piosenki i kupletu, prozy, dialogu wierszem i prozą) świadczy dowodnie o mistrzowskiej niemal biegłości autora”.

Na tom **Ostrożnie, świeżo napisane** składają się wiersze i ballady, bajki, myśli i myślatka, limeriki i humoreski. Sikirycki zachował te same elementy techniki poetyckiej co w poprzednich utworach. We wszystkich jego wierszach wyczuwa się jakby stały nurt uczuciowy, który miejscami przeradza się w sentymentalizm, czego jednak nie uważam za wadę. Lubię to bezpośrednie ciepło, którym przepojone są wiersze Sikiryckiego. Źródła inspiracji poety — to przede wszystkim potoczne życie, codzienna obserwacja różnych jego dziedzin. Tym co wyróżnia te utwory jest umiejętność połączenia satyry z wewnętrznym ciepłem, które być może odradza prawdziwe i często brutalne życie, ale nie osłabia przecież satyry. W niektórych wierszach spojrzenie Sikiryckiego staje się bogatsze, przekształca się w ostrą ironię nie pokażającą troglodytom, którzy spędzają dzień powszedni „pełni bredni”.

„I znów nazajutrz nie umyć Błazę po miastach troglodyt”. Sikirycki pisze świetne bajki o zwierzętach. Umiejętnie odwraca w nich tradycyjne role: to nie lis oszukuje kruką, lecz kruk, wyprowadza w pole lisa i ratuje swoje życie. Udane są bajki oparte na obcych motywach, fińskich, azersko-żydowskich. Znajdziemy wśród tych zapożyczonych źródeł również nazwisko Iwana Franko. („Przypowieść o głupcu”), Saby-Sulchana-Oberliana („Dwa stróż”), Ser giusza Michałkowa („Pies”), („Pchły”) i tłumaczenie świętego „Snu” Tarasa Szewczenki.

Przyznam się, że mniej mi odpowiadają próby parafraz. Owo (powiedziałbym) łagodne spojrzenie, które w satyrze wierszowanej stanowi „pewien rys wyobraźni” i charakteryzuje Sikiryckiego jako poeę, tutaj przeradza się w dość znaną stylizację. Niemniej jednak humoreski Sikiryckiego mogą zabawić. Tomik Sikiryckiego ze świetnymi ilustracjami Wacława Kondka „dobrze zasługuje się naszej satyrze”.

T.

Igor Sikirycki, **Ostrożnie, świeżo napisane**. Wydawnictwo Łódzkie, 1963. Nakład 4.000, str. 91, cena zł 14.

POKÓJ nie przynosi PRZEGRANEJ

Dokończenie
ze
strony 1

nym posiedzeniu obu izb Kongresu przyjęte zostały przez świat z nadzieją.

„W naszej dobie — mówił prez. Johnson — gdy pokój nie przynosi nikomu przegranej, ani nie może być zwycięstwem w wojnie — musimy uznać, iż jesteśmy zobowiązani, aby zrównoważyć siłę narodową z narodowym umiarkowaniem”.

Johnson zapewnił Kongres, że kontynuować będzie politykę zamordowanego prezydenta, a więc dążyć do pokojowego uregulowania problemów międzynarodowych i poprawy stosunków ze Związkiem Radzieckim.

To stwierdzenie szefa rządu amerykańskiego spotkało się szybko z radziecką odpowiedzią. Przemawiając w ambasadzie fińskiej w Moskwie z okazji wizyty prez. Kekkonena — premier Chruszczow powiedział jako dobrą zapowiedź rozwoju stosunków dwóch wielkich mocarstw światowych. Jednocześnie oświadczył on, że ZSRR „nie będzie szedł w kierunku rozwiązania doniosłych problemów międzynarodowych”.

Jednocześnie porozumienie w sprawie częściowego zakazu doświadczeń jądrowych oraz nieumieszczania na orbicie okołoziemskiej ładunków nuklearnych, premier Chruszczow określił jako „zwrot ku lepszemu”.

Przypomnienie tych faktów, do których udało się doprowadzić za prezydentury Kennedy'ego, nie jest oczywiście przypadkowe. Ma ono podkreślić, że tylko ta droga jest słuszną i prowadzącą do celu, jakim jest światowy pokój.

Tak więc wypowiedzi dwóch mężów stanu, którym co najmniej w okresie najbliższego roku przyjdzie współdziałać w utrzymaniu

pokoju są jak najbardziej zachęcające.

Również ostatnie doniesienia z Anglii świadczą, że Londyn chciałby odegrać pewną rolę we wschodnio-zachodnim dialogu. W klubie prasowych sprawodawców parlamentarnych premier Home powiedział dokładnie tak: „Jestem prawie całkowicie pewny, że nadchodzi okres, w którym nasze stosunki ze Związkiem Radzieckim staną się bardziej konstruktywne... Wierzę, że będziemy w stanie znaleźć tereny porozumienia ze Związkiem Radzieckim. Dotyczy to w szczególności sprawy zapobieżenia atakowi przez zaskoczenie oraz — być może — pierwszego etapu całkowitego rozbrojenia”.

Premier brytyjski dodał, że przewidywania swoje opiera na fakcie, iż „przywódcy doceniają zniszczenie, jakie wyrządziłby bomb nuklearna”.

Gotowość rządu brytyjskiego wniesienia wkładu na rzecz międzynarodowego odprężenia potwierdził również min. Butler. W pisemnej odpowiedzi złożonej w Izbie Gmin stwierdził, iż rozpatruje się możliwość „nowych propozycji w sprawie redukcji ilości środków przenoszenia pocisków nuklearnych”, która to propozycja miałaby być wniesiona pod obrady konferencji rozbrojenia w Genewie.

W tym miejscu wypada przypomnieć (pisałem o tym w jednym z poprzednich numerów „Odgłosów”), że choć inicjowanie kroków odprężeniowych wypływa w rządzie brytyjskim z analizy przedwyborczej sytuacji w Anglii. Poważny spadek poparcia dla konserwatystów zmusza ich do szukania środków zaradczych, z których najskuteczniejszym byłoby właśnie przyjęcie na siebie mediacyjnej roli między dwoma światowymi obozami.

Potwierdza to Reuter w następującym fragmencie komentarza: „W obliczu wyborów, które odbędą się za niespełna rok, premier Douglas Home we wszystkich swych ostatnich przemówieniach kładzie duży nacisk

na rolę W. Brytanii w dziele dzieł negocjacji Wschód — Zachód”.

Część prasy konserwatywnej widzi nawet szansę na wysunięcie się rządu Home „na pierwsze linie frontu” w polityce międzynarodowej.

Wreszcie, choć tu zmiany są najbardziej problematyczne, nie można zapominać o pewnej nowej sytuacji, jaka wytworzyła się we Włoszech po wejściu do utworzonego przez Aldo Moro gabinetu, sześciu ministrów z socjalistycznej partii Nenniego.

Wprowadzić stanowisko ministra spraw zagranicznych powierzono socjaldemokracie Saragatowi, który jest entuzjastą dotychczasowej linii politycznej Włoch, jednak w składzie nowego rządu znajduje się przecież sześciu reprezentantów partii socjalistycznej, która na swym ostatnim zjeździe wypowiedziała się przeciwko uzbrajaniu Niemiec i dalszym zobowiązaniom militarnym Włoch.

Fakt ten powinien zobowiązać socjalistycznych ministrów do wywierania nacisku na rewizję włoskiej polityki w kierunku zastąpienia zbrojeń kolejnymi porozumieniami ze Wschodem.

Rozważając perspektywy rozwoju polityki międzynarodowej nie można zapominać i o tym, że w czterech z pięciu czołowych krajów wspólnoty atlantyckiej, a mianowicie w Stanach Zjednoczonych, Anglii, Niemczech zach. i Włoszech zmienili się szefowie rządów, a w trzech pierwszych z wymienionych mają się wkrótce odbyć wybory. Ta okoliczność będzie zapewne skłaniać ich do podejmowania tylko takich kroków na arenie międzynarodowej, które mogą im zjednać wyborców. Jeśli zaś nie będzie ku temu kłopotów — zainteresowani będą z pewnością „ogłoszeniem przerwy w polityce”, a więc utrzymaniem status quo.

Czy jest to jednak możliwe w czasach, gdy nieustannie dokonują się określone procesy polityczne i gospodarcze? Czy można pozwolić sobie na dłuższą pauzę, gdy wiele złożonych problemów domaga się rozstrzygnięcia?

Politycy zachodni w przedwyborczej sytuacji szczególnie obawiać się będą przegranych. Tym bardziej dlatego powinni śmiało wkroczyć na drogę, którą zapoczątkował układ moskiewski. „Pokój bowiem — przypomnę cytowane na wstępie słowa Johnsona — nie przynosi nikomu przegranej...”.

WIESŁAW BEK

EWA SULIBORSKA

Łódzianie 1963



JÓZEF ŻMURKO

Józef Żmurko jest jednym z najstarszych mieszkańców naszego miasta. Urodził się przed siedemdziesięcioma dwoma laty, jest rdzennym łódzianinem, jego ojciec przywędrował tu gdzieś z Łowickiego, osiedlił się na Bałutach i przeżył tu całe swoje życie, był rzemieślnikiem, szewcem, miał kilkoro dzieci, z których to syn Józef wykazywał szczególne zdolności.

„Było to jeszcze za cara — mówi pan Żmurko — Bałuty to były takie jak to Tuwim w „Kwiatkach polskich” opisał, bosa dzieci w kalużach puszczają papierowe lódki — matka moja nieodżałowana, chciała koniecznie, żebym się uczył. Nie było bardzo na tę naukę warunków, ale posłał mnie do takiej szkoły, gimnazjum Radwańskiego na Nowocieskiej (dziś ulica Więckowskiego) i tam był taki nauczyciel, co to mówił, że jestem pojętny i że mi pomoże się wyuczyć. Ale zaczęła się rewolucja 1905 roku i matka mi zabroniła do szkoły chodzić, bo to było niebezpieczne po ulicach wtedy nawet dziecko spacerować. I tak tę naukę przerwałem. Ojciec do warsztatu mnie wziął i za szewca uczył. Potem, chyba to było w dwudziestym czwartym — zacząłem pracować w przemyśle, u Scheiblera, na snownaczę się wykształciłem. I tak to tym snownaczem już całe życie byłem”.

„Jak tu Niemcy przyjeżdżali to z synem wysłaliśmy z Łodzi, dużo ludzi wtedy uciekało, ale daleko na to piechotę nie zaszliśmy. Niemcy nas łapali i potem pod Berlin wywieźli. To nie był żaden obóz, otrzymaliśmy tam jakiś czas i puścili. Przyjeżdżałem tu i zarab robotę sobie znalazłem na Piotrkowskiej, tu gdzie teraz redakcja w składzie papieru, takim magazynie, pracowałem. Ale raz spotkał mnie jeden Niemiec, co u nas w fabryce był majstrem, na ulicy i mówi: — Co z tobą Żmurko, snownacz nie mamy, a ty co ro-

bisz? — no i potem mnie do pracy w fabryce wysłali”. „Całą okupację tu mieszkaliśmy, ale przed czterdziestym piątym, to mnie wywieźli na okopy, tak że jak Łódź oswobodzili to mnie nie było. A po wojnie to pracowałem u Geyera, u Poznańskiego, no, a ostatnio w Zakładach Harnama. W pięćdziesiątym ósmym, to wielu starych pracowników na rentę przeniesli. I ja poszedłem”.

„Ale do fabryki, to często przychodzę. Znam tu ludzi, pogadać zawsze miło, coś miło tu ciągnie... Zresztą do biblioteki zaglądam, znają starego Żmurkę panie bibliotekarki, jaki to ja czytelnik jestem. Dziś to przyszedłem po „Romansy Teresy Hennert” Nalkowskiej. Oglądałem w telewizji, a nie czytałem tej powieści. Ładnie to przedstawili, podobało mi się. Mój sąsiad ma telewizor, to zawsze oglądam sztuki, bo ja kocham teatr. Za cara, jeszcze przed fantą wojną, statystowałem w Teatrze Wielkim — na tej ulicy co to dziś się nazywa Obrońców Stalingradu, a była Konstancyńska. Ten teatr się potem spalił. Pięknie tam sztuki grali. Potem to się na wet dykcyi u Aleksandra Boguskiego uczyłem, pięćmiem półtora rubla za lekcję, miał mi nawet angaż załatwić w teatrze, ale wojna wybuchła. A już po tej ostatniej wojnie to grałem w teatrze amatorskim u Geyera. „Krzyżaków” tam graliśmy, młody Piłarski Juranda grał, był wtedy u nas majstrem. Graliśmy też „List” Fredry. A jak pani Chojnacka przyszła to pytała o mnie, bo jej się moje role spodobały. Teraz to rzadko do teatru chodzę, nie żebym nie chciał, tylko pieniędzy nie za wiele, ale kiedyś znałem wszystkich aktorów, na sztuki to po kilka razy chodziłem”.

„Czytam to dużo, jak o jakiej książce pomyślę, to do naszej biblioteki przychodzę i ją sobie do czytania biorę. Trochę sam piszę wiersze, pan Koprowski to mi powiedział, że wykształcenia mi brak, tak to by i co z tego było... Cóż robić, wszystkiego sam się człowiek nie nauczy. A wiersze to czytałem bardzo luźno, Mickiewicza, tak, ale i Słowackiego poważam, choć jest trudny. I J. Tuwima czytam”.

Pan Żmurko, były korespondent fabryczny „Głosu Robotniczego”, przewodnik pracy jest pilnym słuchaczem prelekcji, odczytów, wieczorów autorskich.

Zakłady Harnama z młodymi siłami
Niech idą naprzód dużymi krokami
Niech nasze zakłady w pracy nie tolgają
My, renciści życia — niech zawsze przodują

— pisał pan Żmurko, do swoich młodszych kolegów kiedy to przestawał pracować w fabryce.

„Coś już takiego mnie jest — mówi — chciałbym o wszystkim wiedzieć. Bo do brze jest, gdy człowiek coś umie, o czymś słyszał. Teraz to stary jestem, ale gdyby tak można było rozpocząć to życie od początku, to bym się uczył. Prawda, że kiedy, tak jak mnie, to o nauce trudno było marzyć, teraz to ludzie mogą się uczyć, ale znowu nie wszyscy chcą, tego zainteresowania nie mają. Jak się żyje tyle co ja lat, i jak się to i owo widziało, to człowiek już wie co w życiu jest najważniejsze”.

JAN KOPROWSKI

PRACA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Wyobrażam sobie, że przed autorem, chcącym podjąć tematykę pracy, stoją trzy możliwości: a) opis pracy jako umiejętności manualnych, b) opis pracy jako procesu technologicznego i c) opis pracy jako przeżycia psychologicznego człowieka. Zwalazcza ten ostatni punkt wydaje się kryć wiele możliwości. Ludzie pracują, żeby zarabiać na życie. To jasne. Ale różnie do pracy podchodzą. Jeden szuka w niej drogi do kariery, inny traktuje ją jako udrękę. Są ludzie, dla których praca jest potężnym źródłem rekompensaty. Ot, nie powiedzą im się gdzieś w jakiejś dziedzinie życia i w pracy szukają zadośćuczynienia za niepowodzenia, których doznali na „innym obszarze”. Praca wtedy staje się ich żywiołem, oddają jej wszystko co mają najlepszego. Jeszcze praca pojęta jako kształtowanie osobowości ludzkiej, praca jako twórczość. Nie mówię tu o pracy jako o obowiązku. To, co oczywiste, rzadko kojarzy się z pracą. Pasjonuje go to, co ukryte, złożone, niejasne, wątpliwe, sporne. Czy pamiętacie, jak zaczyna

się Anna Karenina? Od następującego zdania: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do

Jarosław Iwaszkiewicz napi-

i CO z TEGO

siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa inaczej”. Podobnie, jak sądzę, jest z tematyką pracy. Praca tam i wtedy staje się tematem dla pisarza, gdy ma w sobie coś konfliktowego. Krótko mówiąc: interesuje nas nie praca sama w sobie, lecz człowiek pracujący, napotyający w swej działalności na konflikty. Jeśli w okresie minionym tzw. produkcyjniaki nie udawały się, to dlatego, że problem pracy sprowadzano często do opisu samego tylko procesu technologicznego, czyniąc zeń jakis fetysz. Skutek był taki, że dla

czytelnika — niefachowca opis ten był po prostu nudny, a dla czytelnika — fachowca — niewystarczający, gdyż o owym procesie wiedział on znacznie więcej niż sam autor. Nie mówię tu o innych źródłach wiedzy literatury produkcyjnej. Było ich, rzecz jasna, co najmniej kilka.

Jarosław Iwaszkiewicz napi-

sał, czy też powiedział kiedyś, że najczęściej o Polsce dzisiejszej dowiaduje się on z powo-

wach sądzą, co jedzą, jak się ubierają itp.

Jeśli tak jest (a nie mamy powodu, by nie wierzyć Iwaszkiewiczowi), to coś tu nie gra. Powieść — kryminał, uważana zazwyczaj za coś nierealnego, za spłot wydarzeń i konfliktów „nie z tej ziemi”, staje się nagle źródłem wiedzy o Polsce dzisiejszej. Przyznajcie, że wydaje się to nieco zabawne.

Co prawda, podobnie mówią specjaliści od literatury amerykańskiej: że o życiu powszechnym Ameryki dowiadują się oni z kryminałów, a nie z powieści Faulknera. Wypada zatem zauważyć, że powieść kryminalna coraz bardziej się w naszych czasach socjalizuje. To jej niewątpliwym awans, dowodzący zarazem, że życie codzienne jest dostatecznie niecodzienne. Że w rzeczach zwykłych kryją się niezwykłe. Tak, ale o tym wiedział już Czechow, choć wcale nie pi-

sał, czy też powiedział kiedyś, że najczęściej o Polsce dzisiejszej dowiaduje się on z po-

wieści kryminalnych naszych autorów. W nich — mówił Iwaszkiewicz — znajduje opis ulicy w miasteczku, restauracji, rozmowy między ludźmi, wiem, co ludzie o różnych spr

WYNIKA?

sał powieści kryminalnych. Słownem: nie nowego, wszystko już było, moje uszanowanie, zobaczmy się w nowym 1964 roku.

**MIESZANKA
FILMOWA**

**MIESZANKA
FILMOWA**

100

WACŁAW MROZOWSKI

Do Marii

Jestem jak ptak powrotny. Pamiętasz jaskółki na bantach strychu? Ja do dziś wspominam. Mówiłaś kiedyś, dziecku, że z nimi do spółki zwiedzamy ciepłe kraje. I wracamy wiosną.

W letargu przeminęło dzieciństwo i młodość i w uśpionej pamięci żaden znak nie został z tych płynnych lat i czasu płynnego jak woda, — obudził mnie żar ognia i zagroził drogę zmuszając do powrotu. Ty mi rękę podaj. Staruszek moja, dzisiaj tak jak dawniej młoda i ulżyj mi, która ciąży od kołyski.

Więc powracam, choć z wiosny pozostały gruzy tak jak z naszego domu rozbitego czasem, — rozdarty jak piorunem drzewo w czasie burzy, powalony romantyk na nieludzkiej ziemi.

Żyłem nie tak jak chciałem. Surowy jest klimat z którego wracam. Ale i tu nie inaczej wiosna nigdy nie wróci — będzie wieczna zima tu i tam tragizm życia jednak sobaczy.

Ale przyjmij jak syna, powrotnego ptaka z polamanymi skrzydłami. Zapomnij o żalu. W domu rozbitym czasem, spokoju i ciszy pragnę. I oczu twoich siwych w tym bolesnym kraju.



KAZIMIERZOWI ANDRZEJOWI JAWORSKIEMU

Często wracam do dawnych lat, jak wilk morski stęskniony za morzem nadający tęsknocie swej kształt... Wtedy, Ciebie, widzę, Profesorze.

Wyobraźnię alkohol rozżarza i z letargu budzi tamte czasy... przed oczyma stają bliskie twarze... i Ty wchodzisz z uśmiechem do klasy...

Siedzę w ławce ostatniej przy ścianie, oczy wszystkich zwrócone w mą stronę a ja czytam wypracowanie: „Moja przyjaźń z Johnem Barleycornem”.

Gdzieś w połowie zaczęły drżeć usta rozjeżdżam się z łękiem wokół klasa ciszą zgniecioną i pusta w okna puka skrzydłem kruk mroku.

Patrzysz na mnie wzrokiem surowym rozumiejąc przyjaźni tej tragizm, zamieniony w wielkiego niemowę życiorysu nie skończę. Jest nagi.

Zatrzymawszy więc w połowie zdanie przez ćwierć wieku błędę jak we śnie, — kiedyś skończę to wypracowanie byś rozgrzeszył z życia i z pieśni...

Często wracam do dawnych lat, jak wilk morski stęskniony za morzem, nadający tęsknocie swej kształt, wtedy Ciebie widzę, Profesorze.

u s o o



Taki był początek „wielkiej, heroicznej walki o prawo do ziemi” proklamowanej przez Francisca Juliao, przywódcę nie tylko 96 lig skupiających 50 tysięcy biedoty wiejskiej w 5 północno-wschodnich stanach, ale najpopularniejszego dziś działacza chłopskiego w całej Brazylii. Młody, pełen entuzjazmu i energii Juliao jeździ z jednego końca kraju na drugi, nie ograniczając się do działalności w rodzinnym stanie Pernambuco, gdzie jest deputowanym do parlamentu stanowego z ramienia partii socjalistycznej. Przemawia wśród chłopów, którzy często po raz pierwszy słyszą termin „reformy rolnej”, termin zapładniający jednak ich wyobraźnię, gdy zrozumieją jego głęboki sens. Agituje robotników, bez ich udziału bowiem rewolucja agrarna nie jest możliwa, szuka poparcia u młodzieży.

„Domagaliśmy się zalegalizowania prawa naszych chłopów do zajmowania majątków obszarowych. Głód ziemi — mówi Juliao — jest najbardziej palącym — problemem dla ludności wiejskiej Brazylii”.

„Ligi Chłopskie nie mogą uważać się za partię. Raczej stanowią one ruch, bo należą do nich towarzysze różnych tendencji politycznych i ideologicznych, ale to co ich łączy, to powszechne przekonanie, że trzeba stoczyć bój przeciw imperializmowi, aby wyzwolić Amerykę Łacińską i pozostałe narody. W tym pragnieniu jesteśmy wszyscy jednomyślni”.

Juliao, entuzjastycznie rewołucja kubańska i utrzymuje kontakty z Fidelem Casto. Premier Kuby wysłał specjalny samolot po delegację Lig na kubańskie święta narodowe. „Jeśli chodzi o entuzjazm, ofiarność, zdecydowanie i heroizm, Kuba wskazuje nam drogę” — stwierdza Juliao.

Stosunki społeczno-gospodarcze muszą ulec natychmiastowej zmianie poprzez radykalną reformę rolną, na którą składać się powinny — jak o tym mówią komuniści brazylijscy — likwidacja monopolu na ziemię, przedkapitałistycznych stosunków na wsi i latyfundiów jako klasy.

Obszarnicy zdają sobie sprawę, czym grozi rozwój Lig Chłopskich. Francisco Juliao jest dla nich tym samym, czym był Antonio Conceição, przywódca buntowników z Canudos. Lecz nie jest już rok 1897 i latyfundiści nie dysponują tą siłą, która pozwoliła im dokonać masakry nieposłusznych chłopów. Nie miały jednak ustąpić bez walki. Juliao niejednokrotnie mówił o terrroze slany na wsiach przez „capangę”, bandy oplacane przez obszarników, o mordach dokonywanych na „nieprawomyślnych” chłopach, o barbarzyńskich tzw. „pisto leiros”. Na Północnym Wschodzie dla przeciwdziałania rozwijającej się tam sytuacji rewolucyjnej teren infiltrowany jest przez 15 tysięcy amerykańskich specjalistów wojskowych, o czym mówił niedawno przywódca komunistów Prestes.

Tragiczny jest los aktywistów chłopskich, którzy wpadli na ręce Carlosa Lacerdy gubernatora stanu Guanabara. Człowiek ten, najczarniejsza postać dzisiejszej Brazylii, zażarty przeciwnik Goularta, oskarżany jest przez opinię publiczną o to, że problem włóczęgostwa postanowił rozwiązać przez... wymordowanie wszystkich żebraków swojego stanu. Jego policja aresztowała byłego posła i adwokata Lig Chłopskich. Clo domiro Santos Moraes, towarzysząc mu Celia Lima i kierowca samochodu Moraes pod zarzutem, że znaleziona w wozie strzelba myśliwska i rewolwer przywiezione zostały z Czechosłowacji i Kuby w celach wywrotowych. Cała trójka poddana została w obozie „La Invernada” torturom elektrycznym przez Felipe Asterio agenta Lacerdy.

W Sao Paulo uwięziony pod zarzutem działalności antypaństwowej przywódca chłopski Jofre Correa oświadczył: „po wyjściu z więzienia będę nadal walczył w obronie chłopów”.

Obszarnicy zaciekle bronią pozostałości feudalizmu. 31 sierpnia br. przywódca chłopski stanu Goias, Jose Vituriano, zamordowany został w Sitio Dabala przez agenta latyfundiów Oliveira. Mord ten miał na celu zastraszenie organizacji chłopskiej w Valle Paranan, której sekretarzem był Vituriano.

Samowola wielkich właścicieli ziemskich i niektórych gubernatorów jest wynikiem ciągłego jeszcze słabej pozycji prezydenta Goularta w jego walce z reakcją. Na początku sierpnia Goulart odwiedził stan Pernambuco, ośrodek ruchu chłopskiego. Niedaleko stolicy stanowej powitany został przez przywódcę Lig Chłopskich, Joao Francisco Ferreira. „Oczekiwałem, że podczas najbliższej wizyty prezydenta ogłoszony zostanie dekret o reformie rolnej, bo w przeciwnym wypadku chłopci będą bardzo niezadowoleni... Chłopi — mówił Ferreira Goulartowi — gotowi są do wszelkiego rodzaju walki, pokojowej czy zbrojnej, o radykalną reformę rolną”.

Coraz szersze kręgi społeczeństwa stają po stronie chłopskiej batalii o ziemię nie wyłączając nawet wysokich urzędników państwowych. Świadcza o tym wypowiedzi ministra Neto czy po moc okazana przez funkcjonariuszy resortu rolnictwa chłopom z Niteroi w zajmowaniu folwarku Santa Alice i w walce z żandarmami.

Wreszcie Ligi Chłopskie ruszają do akcji: do zajmowania ziem obszarowych. Tego rodzaju forma walki chłopów o wyzwolenie społeczne jest dziś w Ameryce Łacińskiej najpopularniejsza. Chłopi wybijają sobie „ziemię obie-

Praca chłopów na plantacjach w Cupim była jak wszędzie niezwykle ciężka, za nieskończenie długi dzień robotnik rolny otrzymywał 300 cruzeiros, nawet nie pół dolara. Nędza i głód były tu zjawiskiem powszechnym, pchały do desperackich czynów.

Któregoś dnia 50 chłopów doprowadzonych do ostateczności porzuciło pracę i pod wodzą Jose Purezy, skarbnika Związku Rolników i Robotników Rolnych Rio de Janeiro, dokonało inwazji dzungli w Imbe. 50 pionierów uzbrojonych w siekiery, machy i noże wykarcały spory kawał lasu. Słońce, które rozbłysło w wyrąbanym w dzungli oknie, zwiastowało przyszłość. Sprowadzono tu rodziny i przystąpiono do konstrukcji szałasów. Wiesz o „Wolnym Terytorium Imbe” rozeszła się w całej okolicy lotem błyskawicy. Słudem pierwszych pięćdziesięciu poszły tłumy bezrolnych chłopów z sąsiednich gmin Campos i San Fidelis, toteż już 9 kwietnia mówiono o 600 chłopach okupujących dzunglę w Imbe. Karaczunek lasu trwał, wydarte dzungli nieużytki zamieniano w pola uprawne. Sprawa Imbe wywołała zamieszanie na plantacjach w Cupim, gdzie francuscy kapitaliści stracili nagłe poldarmową siłę roboczą, spowodowała też akcję

stron kraju napływały podarki, żywność, ubrania, lekarstwa.

Obecnie mężczyźni i kobiety w Imbe, 350 rodzin, zorganizowani są w 7 komisjach na czele całości stoi przywódca chłopski Jose Pureza. Każda komisja jest kolektywnie odpowiedzialna za powierzone jej zadania. Jedną wyrębuje drogi w dzungli, druga stawia mieszkania, trzecia organizuje zaopatrzenie w żywność i lekarstwa itd. Jeszcze inna, najważniejsza w tej chwili, pilnuje obozu przed atakami drapieżników, jadowitych węży i zbrojnych agentów latyfundiów. Straże zmieniają się co 2 godziny i pełnią służbę całą dobę.

W Imbe stoją już dwa baraki służące za mieszkania kolektywne. Jeden z nich, mieszczący sztab, ma dach z brezentu natartego woskiem. Rejestruje się tu napływające wciąż nowe rodziny chłopskie. Drugi barak i połowa mieszkań indywidualnych, to prymitywne szałas z liści palanów i palm, bez podłogi, ze stertą suchych liści jako łoża. Żywności dostarcza dzungla i przesyłki od związków zawodowych z okolicznych miast, będące pięknym przykładem braterstwa robotników i chłopów.

Tymczasem do Imbe wydelegowana została komisja stanowa z instytutu reformy rolnej SUPRA dla przestudiowania sytuacji. Komisja zażądała od chłopów opuszczenia w ciągu 2 miesięcy zajętej ziemi i powrotu do poprzedniego miejsca zamieszkania. Żądanie zostało zignorowane, sytuacja była napięta. Wówczas to, w parę dni później, do Imbe przybyli dwaj specjaliści z SUPRA wysłani osobiście przez prezydenta republiki, Joao Goularta, z zadaniem wymierzenia ziemi i rozdzielenia jej między 350 rodzin, które zarejestrowano oficjalnie jako mieszkańców „Wolnego Terytorium Imbe”.

Zwycięstwo chłopów było oczywiste.

Na zaimprowizowanym placu apelowym w środku obozu dzień zaczyna się wciągnięciem na maszt flagi o barwach narodowych i odśpiewaniem hymnu Imbe, który mówi o ziemi, pracy, wolności i walce z obszarnikami, o odesłaniu uciążliwych cudzoziemców.

Mimo trudności mieszkancy „Wolnego Terytorium Imbe” są pełni optymizmu. Jeden z nich, czarnoskóry Jose Iluminado, zarobił długim włosem i brodatą, pełniąc akurat służbę wartowniczą, oświadczył korespondentowi agencji „Prensa Latina”: „Jesteśmy teraz panami swojego życia i przy współpracy naszych braci robotników zdobywamy prawo do pozostania na tych ziemiach, gdzie pewnego dnia wzniósł się nasze szczęśliwe ogniska domowe i nasze własne zboże. Wkrótce nastąpi reforma rolna. Dopiero wówczas ogóle się i ostrzygę”.

Jest w tych ludziach ten sam duch, który wiodł do walki brodaczy z chłopskiej armii Fidela Castro...

Cykl artykułów pt. „Od cangaceiro do Lig Chłopskich” napisany został m. in. na podstawie biuletynu agencji prasowej „Prensa Latina”, tygodnika kubańskiego „Bohemia” i książki Rui Faco „Brasil seculo XX”.

ZBIGNIEW KOWALEWSKI

Hasło: ZIEMIA

caną”, dokonują jej inwazji (albo „rekonkwisty” jeśli chodzi o Indian), a następnie „okupacji” przeprowadzając podział ziemi między siebie — jak to ma miejsce w strefie zajętej przez partyzantów kolumbijskich w Marquetalii — albo uprawiając ją kolektywnie, jak np. Indianie Araukanie w Chiguaygue w Chile. Jeszcze przed powstaniem Lig pierwsza taka akcja w Brazylii miała miejsce w kwietniu roku 1955 w głębi stanu Goias. W dwóch wsiach chłopci utworzyli zrzeszenie dla obrony przed samowolą obszarników. Władze stanowe postawiły przeciw nim policję, wybuchły walki, bo chłopci stawili zbrojny opór. Po kilkumiesięcznych starciach policja zostawiła wście w spokoju. Nowe napaści władz inspirowane przez obszarników w latach 1956/57 skończyły się znowu niepowodzeniem i w rezultacie władze stanu Goias zmuszone były wydać bohaterskim chłopom akty własności ziem.

Teraz zaś Brazylija mówi o Imbe.

Cztery miejscowości — cztery symbole. Canudos — symbol chłopów do ostatecznej kropli krwi walczących o ziemię, ale niepowychnych celu walki, ołwiadniętych metn ideologią zaprawioną mistycyzmem. Juazeiro — chłopów ciemnych, opętanych „cudami” ambitego księdza, cangaceirów broniących feudalnego porządku. Galilea — symbol chłopów organizujących się. I Imbe symbol ruchu chłopskiego światłomego celu i środków, przeżnego i niezłomnego. Symbol rewolucji.

JAK WYZWOLONO IMBE

Stało się to na początku kwietnia 1963 r., 60 km od Niteroi, stolicy stanu Rio de Janeiro, w głębi gęstej dzungli przylegającej do gór Almas, w okolicy zwanej Imbe. W sąsiedztwie znajdują się rafineria cukru Cupim i plantacje trzciny cukrowej francuskiego towarzystwa „Sucreries Brasiiliennes”.



Co to tenie?

Wojewódzka Komisja Koordynacyjna powołała ostatecznie Zespół ds. Wychowania Młodzieży, którego zadaniem będzie prowadzenie systematycznej akcji zwalczania przestępczości nieletnich w naszym województwie. We wszystkich miastach powiatowych powstana tzw. Kolektywy Koordynacyjne mające czuwać nad wprowadzeniem w życie wychowawczych Zespołu. A więc m. in. będą one organizowały dokształcanie terenowego aktywu kulturalnego w zakresie podstawowych zagadnień z pedagogiki i psychologii (tym samym szkoleniem obejmie się również funkcjonariuszy ORMO). Do programu pracy placówek kulturalnych włączona zostanie specjalna forma działalności, która ma być na celu przyciągnięcie tzw. „trudnej” młodzieży do udziału w zajęciach tych placówek. Kolektywy nawiążą ścisłą współpracę z ORMO, MO, zakładami pracy i organizacjami młodzieżowymi w celu zwiększenia opieki i profilaktycznego oddziaływania na nieletnich. Będą one także utrzymywały stałe kontakty z „trudnymi” rodzinami „trudnej” młodzieży poprzez prelegentów i działaczy TWP i TSS.

Po środowiskowych przeglądach amatorskich zespołów teatralnych z powiatu kutnowskiego wytypowano dwa zespoły do udziału w eliminacjach międzypowiatowych Wielkiego Festiwalu Teatrów Amatorskich. Laureatami są: zespół przy świetlicy PSS w Kutnie, który wystawia „Śmierć porucznika” — Mroźka oraz zespół ZZK w Kutnie ze sztuką W. Hugo — „Angelo, tyran Padwy”. Okazuje się, więc, że nie samym Fredrą i Lachowiczem żyje ruch amatorski. I dobrze!

informacje i zaczepki

Informowaliśmy już w tym miejscu naszych Czytelników, że Łódzki Zespół Pieśni i Tańca im. Harmama wyjechał na tournée do Wietnamu i Chin. Na koncert inauguracyjny jacy odbył się w stołecy DRW, Hanoi, przybyli działacze partyni i państwowi oraz przedstawiciele świata kultury i nauki. Łódzcy artyści poodejmowani byli także przez prezydenta Demokratycznej Republiki Wietnamu — Ho-Chin-Minha. Po cyklu występów w miastach wietnamskich zespół im. Harmama wyjechał do Chin. Te egzotywną podróż harmanowców omówimy w osobnym raporcie.

Spółdzielczość mieszkaniowa odda swoim członkom jeszcze w tym roku 3.357 izb. W przyszłym roku natomiast oddanych zostanie do użytku 6.553 izby. Także imponująco wyglądały jeszcze dalsze plany. Do roku 1963 na nowym osiedlu mieszkaniowym Teofilów stanie aż 17 tysięcy izb.

Z młodzieżą Ziemi Łódzkiej spotkali się przedstawiciele Związku Młodzieży Pracującej Rumunii — Gheorghe Matei i Wasiliew Tirda, sekretarze komitetów dzielnicowych tej organizacji z Bukaresztu i Eraszow. Goście zwiedziły zakłady „Sira” w Sieradzu oraz spotkali się z uczniami i nauczycielami Technikum Przemysłowo-Pedagogicznego w Pabianicach.

Jako pierwszy w Polsce otworzył w Łodzi „Klub Nowej Afryki”. Placówka ta (Zachodnia 12) organizować będzie prelekcje, spotkania i wystawy mające na celu poznanie społeczeństwa o kulturze i sztuce krajów afrykańskich. Wstęp do klubu będzie wliczony w cenę biletu z Afryki i członkowie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej.

J. W.

Kto potliwie WA WA GI JERZY WITCZAK

Kilka miesięcy temu, tygodnik „Odgłosy” podjął ciekawą i pożyteczną dyskusję o działalności łódzkich placówek kulturalno-oświatowych. Warto powrócić do tego tematu. Chciałbym poruszyć zagadnienie (które pomineli wówczas dyskutanci), a mianowicie zagadnienie międzyzakładowych domów kultury. Zrozumiałe, że te eksperymentalne, bo powstałe zaledwie dwa lata temu placówki, giną w statystycznym wyciągu świetlic i klubów naszego miasta. Nie można jednak zapominać, że profil programowy i kierunki działania Międzyzakładowego Domu Kultury w wielu punktach różnią się od programów tradycyj-

nych placówek kulturalnych. Międzyzakładowy Dom Kultury skupia pracę kulturalno-oświatową pięciu lub więcej zakładów pracy, plus środowisko gdzie został zlokalizowany. Ta rozległa praca placówki napotyka w praktyce na wiele przeszkód i nieprzezwidywanych problemów. Nie jestem sceptykiem, nie będę więc narzekał na tzw. „trudną” młodzież i mankamenty realizacyjne programów Międzyzakładowych Domów Kultury. Chciałbym tylko poruszyć niektóre sporne problemy lub nagminne wypaczenia pewnych założeń programowych Mdz. DK. Mające powstać w styczniu 1964 r. dalsze dwie placówki tego typu w naszym mieście, powinny

przystąpić do działalności bez niepotrzebnego obciążenia swoich poprzedników. Na październikowym plenum Centralnej Rady Związków Zawodowych pracy programowej Mdz. DK, rezygnując z ogólnych rozważań teoretycznych a skupiając dyskusję na zagadnieniach praktycznych.

W zarządzeniu Ministerstwa Przemysłu Lekkiego z marca 1962 r. w sprawie Mdz. DK, jako placówek kulturalno-oświatowych wyższego typu, czytamy: „Mdz. DK prowadzą działalność kulturalno-oświatowo-rozrywkową, której głównym celem jest socjalistyczne wychowanie mas pracujących oraz organizacja wypoczynku dla pracowników i ich rodzin oraz dla środowiska”. Tak brzmi fragment ogólnego statutu programowego Mdz. DK.

Po dwuletniej obserwacji działalności łódzkich Międzyzakładowych Domów Kultury można spokojnie zmodyfikować niniejsze zarządzenie: „Mdz. DK prowadzą działalność kulturalno-oświatową dla środowiska oraz robotników zakładów pracy”. Środowisko jest wszędzie na pierwszym miejscu. Czy tak być powinno? To już jest sprawa bardzo dyskusyjna, mająca w równej mierze argumenty, za, jak i przeciw. Pewne jest, że za takowy stan rzeczy należy jednakowo winić kierownictwo Mdz. DK jak i dy-

rekcję przynależnych zakładów pracy. Przeglądając niedawno ubiegłoroczne plany działalności kulturalno-oświatowej dwóch Międzyzakładowych Domów Kultury, oczarowały mnie pełne inicjatywy i śmiały pomysły perspektywy pracy placówek. Martwi, że tylko 1/4 całego planu poświęcona jest pracy Domów Kultury w zakładach. Nie można przecież zaspokajać potrzeb kulturalno-oświatowych pracowników zakładów tylko kilkoma okolicznościowymi imprezami. A tak najczęściej się robi. Jedynie, st. 12 pozycje, świadczące o obustronnej współpracy zarówno Mdz. DK jak i zakładów pracy, to miesięczne filmy i prelekcje. Ale i tutaj dobór tematyczny rozciągnięty jest często do przyszłowiego Gawła do Pawła. Tych błędów można przecież uniknąć. Nie mamy powodów do narzekania — na naszą kadec kulturalno-oświatową, lecz należy zwrócić większą uwagę na znajomość i wcielanie w codzienną pracę instruktorów K.O. ideologicznych założeń pracy kulturalno-oświatowej. Mdz. DK powinien przede wszystkim pomóc robotnikom i pracownikom w podnoszeniu ich poziomu ideologicznego i pogłębianiu ich świadomości socjalistycznej. Sądzę, że Prezydium Rady Spółecznej Mdz. DK, nie mówiąc już o poszczególnych organizacjach partyjnych i Radach zakładowych, powinno być promotorem wszelkich imprez organizowanych w zakładach pracy. Nikt nie zna lepiej potrzeb i wymagań pracowników, od POP i Rady Zakładowej danego zakładu. Jednak często współpracą między tymi organizacjami a Mdz. DK, jest bardzo wątpliwa. O rozprowadzenie biletów na mecz LKS — Rada Zakładowa zatroszczy się wspaniale. Ale rozpropagować imprezę urzą-

żoną w Mdz. DK, to już rzecz trudniejsza. Podobno jest to sprawa Mdz. DK. Nieprawda. Dom Kultury może wywieść ogłoszenie, miesieczny plan działalności, podać przez radiowęzeł zakładowy temat i termin imprezy kulturalno-oświatowej, jednak szerszą informacją w poszczególnych oddziałach jest rzeczona Zakładu. Często pracownicy zakładów zapominają, że wszelkie imprezy rozrywkowe, spotkania, odczyty organizowane w Mdz. Domu Kultury, są właśnie dla nich, że to jest ich placówka kulturalna. „Odhaczają” tylko imprezy mające miejsce w ich przedsiębiorstwie. To chyba nie jest w porządku. Cóż z tego, że w programach pracy Mdz. DK pisze się: „nasi bywalcy, to pracownicy naszych zakładów i mieszkańcy dzielnic, którzy do niedawna nie posiadali żadnych innych zainteresowań, oprócz bijatyki, kart czy picia wódki”. Bardzo małe jest liczba młodych pracowników uczestniczących w spotkaniach i imprezach Mdz. DK. Radko są członkami kolektów zainteresowań, zespołów muzycznych, teatralnych. Trudno, nie można ich zmuszać. Starszych nie władz prawie w ogóle. W zakładzie pracy obejrzają imprezę, posłuchają odczytu. Ale żeby do Domu Kultury — między młodych, to nie dla nich.

W zakładowych świetlicach często panuje niezmaczona niczym cisza. Zakurzone sztandary i dekoracje plastyczne czekają niezmienione od jednej akademii do drugiej. Kierownicy świetlic biorą pieniądze za swoją „pracę” i drzeńnią, a Zakłady dopominają się o pracowników Mdz. Domu Kultury, w celu „rozruszania” pracy świetlicowej. Takich paradoksów w pracy kulturalno-oświatowej Mdz. DK można by znaleźć więcej. Międzyzakładowy Dom Kultury jest odpowiedzialny za propagandę wizualną w podopiecznych zakładach. Powinien sprawować nadzór nad realizacją hasła: „wychowanie pracowników przez estetykę i humanizację miejsca pracy”. Taka jest teoria, zaś praktyka? Weźmy przykładowo plastyka z jednego Mdz. DK. Jego ryczałt wynosi 500 zł. Musi on „plastycznie obsłużyć” Mdz. DK plus pięć podległych Zakładów. Cóż z tego, że jeden z zakładów zatrudnia dwie plastyczki w produkcyjnym wzornictwie. Potrafia one zrobić nie więcej niż cztery okolicznościowe gazetki w ciągu roku. Inny zakład zatrudnia na stanowisku „plastyka”, starego pracownika zakładów, który z ołówkiem, pedzlem lub farbami ostatni raz zetknął się w szkole podstawowej. A trzy tysiące pracowników zakładów ogląda codziennie odstrasza-jące bohomy. Zaprzepaszczą się wielką szansę przywiązania ludzi do miejsca pracy. Estetyka zakładu, miejsca pracy i wypoczynku na przeciwieście, choć nie ujęty normami, związek z wynikami produkcji. Sytuacja tym dziwniejsza, że w Łodzi mamy przecież szeroko rozwinięte środowisko plastyczne. Ale starego plastyka nie można zastąpić, to woleliby pracowników naszych zakładów — brzmiałby dyktando. A za wszystko odpowiedzialny jest

Mdz. DK. Wtedy faktycznie nie może zmienić. Prowadzenie poradnictwa plastycznego to bardzo mało, bo trzy zakłady w ogóle nie mają plastyka. Etat dla plastyka Mdz. DK jest rzeczą niemożliwą do zrealizowania. Gdzie więc propozycja i słusność? Zakładowy plastyk ma 500-letni ryczałt i w spokoju produkuje swoje „malunki”, a drugi — odpowiedzialny za wszystkie 5 zakładów i Mdz. DK (na dobrą sprawę powinien również poprowadzić bohomy zakładowego amatora) musi się zadowolić również ryczałtową sumą.

Zdaje sobie doskonale sprawę, że niektóre przytoczone przykłady są zbyt krótkie, jednak często spotykamy je w pracy Międzyzakładowego Domu Kultury. To są sprawy drobne, mankamenty jednej lub drugiej placówki, jednak w codziennej pracy bardzo uciążliwe, obniżające efektywność działalności Mdz. DK. A placówki tego typu powinny stać się bastionem kulturalnym w podopiecznych zakładach. Celowo nie piszę o sukcesach i pozytywach pracy Mdz. DK, chcąc poruszyć tylko sprawy i problemy, które nie powinny nurtować działalności przyszłych placówek tego typu. Pisałem o trudnościach „przyciągnięcia” pracowników zakładów na imprezy organizowane w Mdz. DK. Wydaje mi się, że jest to problem nr 1, od którego pozytywnego rozwiązania zależy realizacja wielu założeń programowych Międzyzakładowego Domu Kultury. Trudno się zdziwić, że w obecnej sytuacji, Mdz. DK stają się placówkami pracującymi w dużej mierze tylko dla środowiska, w którym istnieją. Praca konieczna i wielce pożyteczna, nie można jednak zapomnieć o pracownikach zakładów, a szczególnie młodzieży pracującej. Może w rozwiązaniu tej sytuacji pomogłaby bardzo prężna w niektórych zakładach organizacja Związku Młodzieży Socjalistycznej, „Zetemesowcy” stabilizujący się promotorem zachęcającym współpracowników pracy do czynnego udziału w działalności Mdz. DK. Ich częsta obecność w placówce pozwoliłaby na lepszą współpracę z zakładem, a swoją obecnością, zachowaniem i kulturalną inicjatywą, wiele mogłyby pomóc w trudnej pracy środowiskowej placówek. W ciągu dwóch lat działalności Mdz. DK mocno zapuściły korzenie w nieprzychylną glebę środowiska. Zyskały wdzięczność i sympatię wielu bywalców. Dlatego też, warto rozpatrzyć szczegółowo program działalności Mdz. DK. Wyważyć rozsądnie propozycje pracy placówki w zakładzie i środowisku. Bo te kulturalne kombinaty, jak określał Mdz. Dom Kultury kierowniczy mniejszych, samodzielnych świetlic, spełniają ważną rolę zarówno w Zakładach pracy, jak i w środowisku. Kierownictwo przyszłych międzyzakładowych placówek nie może tłumaczyć swoim uczestnikom, że Mdz. Dom Kultury działa głównie dla zakładów pracy a jego obecna działalność, to środowisko, w którym istnieje. Niepedagogiczne to przecież i na dobrą sprawę niezgodne z rzeczywistym stanem rzeczy.

JERZY WILMAŃSKI

Niedawno Jerzy Panasiewicz pisząc o współczesnych autorach dramatycznych rzucił kilka łódzkich nazwisk. Były to wszystko nazwiska ostatnich lat, nazwiska właściwie drugiej połowy naszego dwudziestolecia. Przypomnijmy może zatem tradycje dramaturgiczne naszego miasta zwane go kiedyś złym miastem, a przecież mimo tej opinii nie pozbawionej solidnej, literackiej teatralnej przeszłości.

Otóż równo 60 lat temu w październiku 1903 roku łódzki ekonomista Mieczysław Hertz debiutuje baśnią czarodziejską pt. „Ananke”. „Ananke” jest chyba pierwszą łódzką sztuką, łódzka, bo napisał ją łódzianin i tu odbyła się jej prapremiera. Od tej zapomnianej dziś pozycji rozpoczyna się ciąg utworów dramatycznych łódzkich autorów. Sztukę Herta która była zawołaną satyrą na łódzkich przemysłowców wystawił w Teatrze Polskim

U źródeł łódzkiego dramatu

„Victoria” (dzisiejsze kino „Polonia”) — Mieczysław Gawalewicz.

Również z rodziny przemysłowców wywodził się inny dramaturg łódzki — Alfred Poznański piszący pod pseudonimem Savoir. Poznański w stosunkowo młodym wieku opuścił Łódź i osiadł na stałe w Paryżu, gdzie przyjął obywatelstwo francuskie i prowadził własny teatr. Najbardziej znana jest jego komedia „Sinobrody” oraz sztuka „Chrzest”. Mówiąc o dramacie łódzkim początków naszego stulecia nie można pominąć nazwiska Ewy Rozgórskiej, której interesującą komedię pt. „Rodzina” wystawił w roku 1908 Aleksander Zelwerowicz grając w niej jedną z głównych ról.

Wśród nazwisk łódzkich dramaturgów nie może też zabraknąć młodzieńkiego wówczas J. Tuwima. Otóż

poeta w 1915 r. wystawił w Teatrze Wielkim własną adaptację „Czarna Pawła”. Dyktando Mieroszkowskiego. Role tytułową grał przez jakiś czas sam Ludwik Solski, a po jego wyjeździe bardzo znany i utalentowany aktor łódzki — Stefan Szosland. Poza tym Tuwim był autorem kilku rewii wstawianych w ogródkach restauracji Tivoli i w ogródku na Cegielnianej. Na wiasem mówiąc właścicielem kawiarni i ogródka na Cegielnianej był obywatel szwajcarski pan Junod — ojciec znanego w okresie międzywojennym aktora występującego pod pseudonimem Eugeniusza Bodo.

W Łodzi w 1915 roku głośna była także rewia łódzkiego poety i dziennikarza Andrzeja Nullusa wystawiona w ogródku na tyłach Grand-Hoteli. W rewii Nullusa występował bowiem...

polski ulan (grał go Ołędzki) co wśród publiczności wywołało ogromny entuzjazm i spowodowało aresztowanie autora przez niemiecką żandarmerię.

Potem — już w okresie dwudziestolecia międzywojennego — debiutowali w Łodzi utworem dramatycznym przeważnie dziennikarzem. Tak więc znamy sztukę pt. „Elenit alfa” Mariana Oltaszewskiego, znaną komedię Adama Górskiego pt. „Król bawelniany” będącą jak mówiono wówczas w Łodzi satyrą na Oskara Kona i Scheiblera.

W roku 1933 — przypomnijmy, że był to rok dojścia Hitlera do władzy — w teatrze na Cegielnianej (dziś Teatr im. Jaracza) Stanisław Bal debiutował reportażem scenicznym pt. „Nie wierzcie Niemcom”. Cenzura jednak zakwestionowała tytuł i utwór Bala uciekał światła

ramp pod tytułem „Niebieska kotwica”. „Kotwicę” reżyserowała Stanisława Wysocka, a oprawę scenograficzną dał Stanisław Jaroński.

W ciągu tych 60 lat od czasu premiery sztuki Herta sporo przeżyło się przez nasze sceny dramatów i komedii autorów łódzkich. Być może nie wszystkie zostały w tym felietonie uwzględnione — nie to było zresztą jego celem. Mvelo po prostu, że w tym czasie przypomnieć jakiś okrutny łódzkiej przeszłości, że warto przypomnieć i współczesni łódzcy dramaturdy działają w oparciu o wcale nie najgorszą tradycję.

odgłosy str. 5

Władysław Rymkiewicz KONFERENCJA

MECENASA

Spełnił z jakimś trwożnym pośpiechem moje żądanie, podał jadłospis i zaczął wychwalać rośbeł i jugosłowiański wermut.

Na podium zjawili się członkowie zespołu jazzowego w smokingach. Muzycy wyjęli swe instrumenty muzyczne z futerałów i pokrowców. Przyémiono górne światła. Pary tanczące zaczęły się poruszać z senną zmysłowością na parkiecie. Kolorowe smugi światła z reflektorów trafiały w lustrzaną kulę, z krysztalowych płytek, obracającą się nad głowami osób poruszających się w tanczonym rytmie, i kula rozświecała migotliwe iskrzenie, spływające przysnieniem drobnych blasków ze ścian.

Krystyna uniosła okrągłym ruchem ramię poprawiając włosy. Każdy jej gest wzbudzał zainteresowanie gości restauracyjnych, którzy zajmowali stoliki w naszym sąsiedztwie. Oryginalna uroda Krystyny, podkreślona efektowną suknią, zwracała powszechną uwagę. Wydawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie i krępowano mnie to, obawiałem się, że ludzie mogą wiedzieć we mnie zakochanego lirycznie w młodej kobiecie starszego pana.

Kelner z czarnym wąsikiem i smokingową muszką przyniósł rośbeł i zaczął celebrować nakładając krwiste platy mięsa na talerz i nalewając wino do kieliszka.

Powiedziałem Krystynie, że szukałem jej dziś po wyjściu z sądu, i zapytałem, dlaczego nie czekała na nas w hallu? Czy nie była ciekawa decyzji sądu?

Zamiast odpowiedzi zadała mi pytanie, czy nie sądzę, że w naszej sprawie jest coś nie w porządku? Z czym? zapytałem. Ach, nie udawaj, powiedziała,

mówię przecież o naszej sprawie. Ale z czym nie w porządku w naszej sprawie? ponowiłem pytanie, chociaż domyślałem się, co chciała powiedzieć, tylko wolałem nie zastanawiać się nad tym, a już potem nie słuchałem, co mówiła, myślałem już o czym innym, o tym, w jakiej godzinie mego życia popełniłem błąd, zaczęło mi huczeć w głowie. Błąd, Błąd, to słowo rozrastało się mi pod czaszką do monstrualnych rozmiarów. BŁĄD, BŁĄD, nie tylko w tej sprawie, w tym procesie, lecz w ogóle, w ogóle, W OGÓLE. Pytanie Krystyny dało mi dużo do myślenia. Krystyna coś mówiła. Nie słyszałem, zaabsorbowany myślą, która mnie wypełniała bez reszty tak, że już nie było we mnie miejsca na nic innego. Migrena wyciskała mi łzy z oczu, jednak nie chciałem się zdradzić z bólem głowy i tłumiać irytację słuchaniem gorzkich ostrzeżeń, żeby się mecenasa Falski nie ludzi co do tego, że Michałakowa zezna tak, jak by to dla niego było wygodne i korzystne, przeciwnie.

Nie zezna, zapytałem, a więc, jak zezna, lecz Krystyna nie chciała mi na to odpowiedzieć. Wypiłem kieliszek wermutu i sięgnąłem po butelkę z efektowną kolorową nalepką. Idzie o to, tłumaczyłem Krystynie, żeby Michałakowa zeznała nie z korzyścią dla nas, czy ona, Krystyna tego nie rozumie, zapytałem, i powiedziałem, że dzisiaj w kuluarach sądowych po zakończeniu sprawy stary Zdunek rzucił się z wmyślaniami na mnie i na Taborskiego za to, że osmielił się się wystąpić z zarzutem przeciwko jego synowi, i że Falski powiada, że to była reakcja człowieka, który ma nieczyście sumienie. „Uderz w stół”, i tak dalej.

Usłyszałem odpowiedź, której się najmniej spodziewałem, że ten prowokacyjny (prowokacyjny, proszę!) zarzut musiał wzbudzić w prostym człowieku takie silne oburzenie na adwokackie kruczki, że stary Zdunek nie mógł się opanować, i że nie można się dziwić.

Nie, to niesłychane, pomyślałem. Więc, bierzysz stronę idioty boksera, zamiast. Pochyliłem się nad talerzem, kroilem z pasją rośbeł i jadłem w milczeniu. Wreszcie, nie mogłem dłużej i powiedziałem, żeby pamiętała, że zarzuty przeciwko Zdunkowi nie są wysane z palca, tylko pochodzą od

Zignorowała moją uwagę o Castellazu i odpowiedziała, że Falski jest dla niej uosobieniem — z ruchu jej warg odgadywałem słowa, których nie słyszałem wyraźnie, gdyż na sali panował gwar i na dodatek saksofon rozjeżdżał się rzewnym lamentem. — Pod pozorami obrony interesu klienta i pod płaszczykiem hasła o powołaniu adwokatury.

Metaliczny ton trąbki zamroził namiętną frazę skrzypcową.

Hałas, muzyka, kakafoia. Głowa mi pękała.

— Cyniczne metody i wykretnie argumenty, i tak dalej — widziałem poruszające się wargi. Migrena wyciskała mi łzy z oczu.

— Był tylko wygrać proces. — Do moich uszu dochodziły oderwane zdania. Słyszałem daleki głos Krystyny, mocny, lecz opanowany.

— Sprawiedliwość, słuszność, moralność, prawda, wszystko to jest rzekomo zawsze po stronie tego klienta, którego pan mecenas aktualnie broni i od którego inkasuje honorarium.

Wszystko naraz, pianino, saksofon, rożek, trąbka, skrzypce i bęben wybuchło

potężnie z nieopisaną kakafoią i hałasem.

— Ten typ adwokata z minionej epoki jest dziś anachronicznym przeżytkiem. — Cierpkie słowa raniły moje poczucie sprawiedliwości. — Poza tym on zatracił.

— Co zatracił? — Nie słyszałem i już nie dowiedziałem się nigdy. Zwróciłem z odpowiedzią, żeby się opanować i nie rzucać nieostrożnie jakiegoś słowa, którego bym później mógł żałować. — Nie zaprzeczysz jednak, że Falski jest świetnym obrońcą i znakomitym mówcą?

Ociagała się z odpowiedzią. Nie, nie mogła tego powiedzieć.

Głupstwo, mówiłem sobie, głupstwo. Nie miała racji, mówiłem sobie, to była dziecinada. Podenerwowany jej argumentacją, mówiłem sobie, że wiem, czym tłumaczyć jej animozję do mecenasa.

— Jeżeli nawet Falski jest takim, jakim go odmalowałeś — powiedziałem ironicznie — to ja potrzebuję nie jakiegoś anioła, lecz adwokata, który by dobrze bronił mojej sprawy.

— O, do anioła to mu daleko! — usłyszałem śmiech ubawionej moim powiedzeniem Krystyny. Nagle spoważniała. — Twój Falski to klasyczne „wynajęte sumienie”.

Odłożyłem powoli noż i widelec, krwiąc w tych opanowanych ruchach wzbudzenie, jakie mna owładnęło. — Cóż to za dostojowszczyzna? — zapytałem z niesmakiem. — Ale skoro już o tym mówimy, to ja ci powiem, że dla mnie adwokata, to ja ci powiem, że dla mnie adwokata to „kupiec ludzkich trosk”.

Nie usłyszałem, co odpowiedziała, usłyszałem tylko znów jej ładny śmiech.

— A w końcu, nie w tym

rzecz — powiedziałem po jedynawczo. — Konkretnie, Michałak był świetnym fachowcem i nie mógł popełnić takiego nonsensu jak spuszczenie do kanału gotowego wodorosiarczku, który był półproduktem przeznaczonym do dalszej produkcji. Któż więc, pytam, i na czyje zlecenie mógł otworzyć zawory spustowe?

— Nie wiem. Nie znam się dostatecznie na przebiegu procesu technologicznego, ale sądzę, że posiadasz dosyć innych argumentów na swoją obronę. — Położyła rękę na mej dłoni.

— Falski twierdzi, że ten argument jest rozstrzygający. Ręka Krystyny cofnęła się szybko i płynnie. — Dlaczego zastraszasz się Falskim?

— To mój obrońca.

— Czy dlatego, że masz obrońcę, uważasz się za zwolnionego od odpowiedzialności za

— To jest nihilizm — odpowiedziałem. — Nie wolno negować — powiedziałem — wszystkich wartości cywilizacyjnych, wypracowanych przez ludzkość od wieków, od Cyserona.

— Ja nie neguję — odpowiedziała. — Ja tylko bronię...

Szum w uszach zlewał mi się z melodyjnym zgiełkiem jazzu.

Pod sufitem rozjarzyły się do białości neony. Przerwałam rozmowę, żeby nie zdradzić się wobec osób przy sąsiednich stolikach jakimś ostrzejszym tonem głosu, grymasem irytacji czy nazbyt ożywioną dyskusją. Nie chciałem i wiedziałem, że Krystyna również sobie nie życzy, żeby nas brano za skłóconych kochanków.

Przerwa nie trwała długo. Znów przyémiono światła. Błysnął w półmroku srebrny syfon saksofonu. Zabrzmiały hałaśliwie tony rock and rolla.

Nawiazałem do przerwanego dialogu: — Nie rozumiem, dlaczego chcesz, żebyś odpowiadał za winę nie zawnioną i odmawiasz mi prawa do obrony, skoro twierdzę, że

Słyszeliśmy się coraz gorzej.

Krystyna coś mówiła. Ujrzałem dwie twarze w jednej, jak na obrazach Picasso, oczy z profilu i en face, oczy Krystyny i oczy Zdunka w jednej twarzy. Gwar w połączeniu z dźwiękami jazzu tworzył ogłuszającą wrzawę. Nad stolikami unosił się przezroczysty obłok z dymu od papierosów i kurzu wzbijającego się z parkietu.

Czułem pragnienie i popijałem wermut. Głowa mi ciążyła. W zamglonych lustrach obracało się jak na karuzeli grono osób, poruszających się na parkiecie. Widziałem wszystko jak przez mgłę i słyszałem słowa Krystyny jak przez szum wody pompowanej w piwnicach z rezerwuarami na oddziale SK7-c.

— Co powiedziałas?

— Powiedziałam, że on tego nie mógł zrobić. Mógł się najwyżej omylić. Ale to nie był sabotaż.

— Na czym opierasz swoje przekonanie?

— Na rozmowie z Michałakową.

— Ona nie mogła mówić inaczej, choćby myślała inaczej, to zrozumiałe. Ale ty bronisz go, jakbyś była jego adwokatem.

POWIEŚĆ WŁADYSŁAWA RYMKIEWICZA „KONFERENCJA U MECENASA”, KTÓREJ FRAGMENTY DRUKOWALISMY W NASZYM PISMIE, UKAŻE SIĘ NAKŁADEM WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO W PIERWSZYM PÓŁROCZU 1964 R.

Zwracamy uwagę BIBLIOTEKA ESTRADY

Współczesna poezja na estradzie — taki tytuł nosi wybór poezji radzieckiej przeznaczony dla estrad poetycznych i teatrów poezji. Wydawnictwo Związkowe, Warszawa 1963, str. 216, cena zł 12. Towarzystwo Przyjaciół Polsko-Radzieckiej Biblioteki Estrady. Redaktorami książki są: Stanisław Ryszard Dobrowolski, Anna Kamieńska i Leopold Lewin. Opracowanie inżynierów i wstęp Jerzego Litwiniuka. Noty biograficzne: Florian Nieuważny. Zaprezentowany wybór rosyjskiej poezji radzieckiej stanowi, jak czytamy we wstępie, „pewnego rodzaju uzupełnienie do kapitalnych wydań Dwa wieki poezji rosyjskiej (Czytelnik 1954, wyd. III) i Stu trzydziestu poetów (PIW 1957). Wchodzi do niego nie publikowane dotychczas w polskim przekładzie utwory nie

tylko wybitnych przedstawicieli młodego pokolenia, ale również ich prekursorów, których dorobek, pomijany niejednokrotnie z przyczyn pozaliterackich, nie przestał oddziaływać na rosyjskie i radzieckie środowiska twórcze”. Autor wstępu zaznacza, że z racji ograniczonej objętości zbiór ten trzeba uzupełniać w miarę potrzeby materiałami znajdującymi się w innych, stosunkowo łatwo dostępnych wydawnictwach, zarówno poetycznych, jak muzycznych.

Uwaga istotna, ale trzeba podkreślić, że propozycja tematyczna poszczególnych wierszy, informacje gdzie należy szukać odpowiednich wierszy oraz wskazówki metodyczne czynią tę książkę prawdziwym bestsellerem. Niestety, można się spodziewać, bestsellerem niedostępnym dla większości zainteresowanych, Nakład 10.000 — wobec olbrzymiego zapotrzebowania na tego rodzaju publikację — zostanie rozchwytany natychmiast!

A NA INNYM TERENIE?

To samo zastrzeżenie dotyczące zbyt niskiego nakładu można odnieść i do innych publikacji. W indeksie Ludowej Spółdzielni Wydawniczej

znajdujemy na przykład notę o książce Ireny Turowskiej-Bar Polskie czasopisma o wsi i dla wsi, zawierającej materiały bibliograficzno-katalogowe dotyczące polskich wydawnictw periodycznych przeznaczonych dla wsi albo też traktujących o wsi. Autorka zebrała około 2200 not o czasopiśmie ukazujących się od wieku XVIII do r. 1960. „Książka” — jak reklamuje wydawnictwo — będzie dobrym przewodnikiem dla każdego, kto zechce studiować dzieje ruchów chłopieckich, dzieje wsi i ruchu ludowego” i powinna znaleźć się „w każdej bibliotece naukowej oraz w ręku każdego historyka. Zaciekawie niewątpliwie działaczy, oświatowców i innych”.

Zaciekawie z pewnością. Tylko czy 1500 egzemplarzy wystarczy dla wszystkich zainteresowanych?

W tym samym nakładzie LSW wydaje książkę Stanisława Gizi i Czesława Wycecha Materiały do bibliografii ruchu ludowego i dziejów współczesnych wsi (str. 440, zł 53). „Przy ustalaniu zakresu bibliografii autorzy przyjęli szerszą problematykę ruchu ludowego, a więc nie tylko zagadnienia polityczne, lecz i ekonomiczne, prawno-ustrojowe, oświatowe i kulturalne. W podstawowych zagadnieniach interesujących szczególnie ruch ludowy, takich jak sprawy ekonomiczno-rolnicze, reformy rolnej, czy oświaty i kultury wsi, podano pozycje bibliograficzne zarówno sprzyjające jak i przeciwnie ruchowi ludowemu, by przy szlęmu badaczowi ułatwić no równanie poglądów w określonych kwestiach społecznych i politycznych”. Rzecz z pewnością interesująca. Ale czy i tym razem. Wydawnictwo trafnie oceniło zapotrzebowanie na tego rodzaju pracę?

MAREK WAWRZKIEWICZ

OPERA VIVA

Gest pozostał ten sam. Hrabia Gil ujmując dłoń swojej małżonki, wcale nie tajemniczej Zuzanny, tak samo jak siedemnastowieczny markiz ujmował dłoń spionionej donny. Początek naszego wieku znamionuje tu najwyższą swobodę założenie nogi na nogę, klub, do którego co wieczór udaje się małżonek oraz, oczywiście, papieros w euforii palony przez młodą „nowoczesną” bohaterkę. Rzecz pewnie rozgrywa się we Włoszech. Być może w Anglii Zuzanna byłaby sufrażystką, a jej wdzięki zeszpełby pseudomęski ubiór. Mimo programowe zapewnienia nie bierzemy na serio konfliktu. Na jednoaktową operę, „operę wesolą” wystarczy jednak przecież tematyczny pretekst. Fabuła jest zupełnie wątpliwa, ale może właśnie dlatego oddychamy z pewną ulgą. Tak jest właśnie dobrze: nie musimy śledzić nieprawdopodobnych i zawsze tragicznych perypetii bohaterów, którzy robią wszystko, aby nas przekonać o nieprawdopodobieństwie tych perypetii; nie rozwiązujemy, przyłocznym ciężarem złych operowych tradycji, wielkich problemów — w operze skarykaturowanych i ciężkich. Fabuła daje się streścić w jednym zdaniu: Trzeba chwalić rodzaj mimo że jasne są całkiem wszystkie małości przykadu tego rodzaju. A więc fabułka nie stała się, choć mogła, o-kazją do napisania wybitnej muzyki. Uwertura jest pewnie pastiszem, duet miłosny

mołby być ozdoba jakiejś operetki, a mimo to żywioł akcji, tempo w jakim reżyser poprowadził (traktujemy dzieło i jego odtworzenie jako monolit — mamy do tego rawn) „Tajemnicę Zuzanny”, aktorsko poprawne co najmniej role i takie dyspozycje głosowe Delfiny Ambrozjak (troczej i majacej) zadziwiająca łatwość śpiewania; wolałbym tylko, aby nie pojawiały się w niskich tonach „gruchające” dźwięki i Stanisława Heimbergera (znac w jego roli ogrom włożonej na nią pracy) — wszystko to sprawia, że wyżej cenimy sobie tę „bagatelkę” niż wiele „wielkich i poważnych” oper.

Zdumiewający i niepojęty jest mechanizm tego wzruszenia. Narodowe tragedie, upadki wielkich spisków, posag komandorów, naturalistyczne smierci bohaterów, to wszystko czym zapełnione są XIX-wieczne opery nie robią już na współczesnym widzu wrażenia. Tutaj zaś w obrazie stylizowanym na średniowieczne misterium wstrząsają nami, dwudziestowiecznymi, synbole, które ubrane są może w kształty pochodzące z dzieł wyobrażeń. Wierzymy więc w niewiadomą Dziewczynę z maską zakrywającą jej połowę twarzy: Król tak jak trzeba ma koronę i berło. Kościotrup zaś z Klepsydra symbolizuje milczenie ale groźne „memento”. Ich ruc: na scenie przypominają poruszanie się kul, iel,

jest zgodny z rytmem muzycznym, rytym zaś jest „odpowiednikiem ruchu, będącego najistotniejszą manifestacją życia”. Wszystkie późniejsze postacie są już postaciami ludzkimi, już mniej symbolizującymi: balet, śpiewacy bez zbytecznego gestu wykonujący swoje pieśni. Jeszcze tylko chór jest tu elementem ponadczasowym, świadczącym o rozgrywającej się akcji, kaptury zakrywające głowy odbierają ludzką indywidualność.

Oto dzieło (wszystko jedno jak je nazwiemy — oratorium, opera estradowa, czy kantatą sceniczną) na pewno wielkie i dyktujące niezależnie od dalszych planów repertuarowych linie rozwoju i przyszość pery. Można się spierać tylko o szczegóły — te, które pozostają pożyte ogólnego poziomu (jak niektóre sceny baletowe) lub te, które znajdują się powyżej tego poziomu — jak znakomita, pełna rozpasania partia śpiewana przez Zbigniewa Studera, czy wszystkie niemal fragmenty wykonywane przez wielki chór. Nie ma jednak sensu wystawianie cenzury; wszystkie elementy dzieła zostały w harmonijny sposób podporządkowane jego światłemu, scenicznemu kształtowi. Myślę, że „Carmina Burana” była sprawdzianem dojrzałości zespołu i sprawdzianem gustu publiczności, która przyjęła ją w sposób entuzjastyczny. Obie strony zdają ten trudny egzamin celująco. Premiera „Carmina Burana” była świętem żywej, młodej opery.

Carl Orff. „Carmina Burana” i Ermanno Wolf-Ferrari „Tajemnicę Zuzanny”. Kierownictwo muzyczne Zygmunta Łatoszewski, inscenizacja i reżyseria Leo Nedomansky, choreografia Feliks Parnell, scenografia Józef Rachwański. Premiera w Operze Łódzkiej dnia 3 grudnia 1963 r.

XIV PLENUM

i MY

Dokończenie
ze str. 1

zbędnych do powzięcia istotnych decyzji. Im bardziej komplikuje się mechanizm organizacji życia zbiorowego, tym większy jest ich faktyczny wpływ na wymienione decyzje. Uprzemysłowione społeczeństwo nie może sobie pozwolić na luksus oddania ważkich spraw w ręce ludzi niekompetentnych. Czy „ucieczka inżynierów”, którą sygnalizowali na łódzkiej naradzie niektórzy dyskutanci, jest zjawiskiem zdrowym i pożądanym? Na pewno nie. Warto jednak dokładnie zbadać każdy raport dyrektora mówiący o tej sprawie. Warto przyrzeć się bliżej temu zagadnieniu. Bowiem nie można go chyba sprowadzać wyłącznie do złej czy dobrej woli naczelnego dyrektora. Problematyka wrastania inżyniera (wybitnego specjalisty — czy też nawet młodego początkującego) do nowej dla niego społeczności zakładowej jest zbyt skomplikowana, aby ją można skwitować jednym tylko zdaniem o udolnej czy nieudolnej polityce kadrowej. Przyczyny, jak sugeruje dyskusja i jak wskazało Plenum, są głębsze.

Zagadnienie polityki kadrowej łączy się z odpowiedzialnością. W gruncie rzeczy wszystkie grzechy naszego przemysłu wiążą się z tym problemem. Sprawa ta miała swój szczególny wydźwięk na Plenum w Warszawie. Władysław Gomułka wskazał, na potrzeby jasnego sprecyzowania odpowiedzialności za realizację nakreślonych w planach zadań gospodarczych. Partia wytycza kierunek, podejmuje uchwały, które obowiązują członków partii, a także bezpartyjnych zajmujących kierownicze stanowiska państwowe w administracji gospodarczej. Główna więc odpowiedzialność za uporządkowanie gospodarki, za realizację planu na rok 1964 spoczywa na administracji. Ale to. Gomułka powiedział: „Pójdziemy do załóg, do samorządów robotniczych z uchwałami dzisiejszego Plenum i z konkretnymi wnioskami, jakie z nich należy wyciągnąć w każdym zakładzie pracy”. Zagadnienia odpowiedzialności obejmują więc nie tylko dyrektorów i górę administracyjną. Do-

tyczy każdego pracownika. Robotnika, chłopca, nauczyciela, urzędnika. Każdego, kto stoi przy warsztacie pracy, i kto pilnuje tego warsztatu. Tow. Kuliński mówił na łódzkiej naradzie: tracimy miesięcznie 14 milionów złotych na skutek nieusprawiedliwionej nieobecności w zakładach pracy. Tracimy na skutek trwonienia czasu. Ponosimy straty na skutek nieoszczędnej gospodarki materiałami. Tracimy na skutek niewłaściwego stosunku do pracy. Tow. Kuliński podawał przykłady z Łodzi, kiedy na maszynach tego samego typu i w podobnych warunkach poszczególne załogi osiągały różne rezultaty. Analogiczne przykłady można podać i z innych dziedzin naszej gospodarki, przede wszystkim z rolnictwa: ta sama gleba, te same warunki klimatyczne i skandaliczne różnice w plonach. Kto tu zawinił? Oczywiście, ten, który stoi przy warsztacie i nie umie go obsługiwać, i ten, który uprawia ziemię i nie umie jej uprawiać i nie nadąża za postępem.

Wzmocnienie więc odpowiedzialności wszystkich pracujących staje się dzisiaj sprawą naczelną. Zjawiska łamania dyscypliny pracy nie rozdziły się same. Wadliwa organizacja pracy w niektórych zakładach sprzyjała powstawaniu klimatu, w którym łatwo było popaść w konflikt ze swoimi obowiązkami. Sens wszystkich dyskusji, rozmów, jakie wywołało XIV Plenum (mówiono o tym na naradzie w KL, podkreślał to również w podsumowaniu min. Lesz), może być tylko jeden: jak wyjść z trudności, w jaki sposób poprawić metody zarządzania i planowania; w jaki sposób aktywizować załogę, która winna występować w roli współgospodarza zakładu, jak szerzyć zasady kolektywnego stylu pracy, jak krzewić współzawodnictwo, które rozwija w człowieku najlepsze wartości moralne. Stawiając na rzetelność, na rozsądek, na dyscyplinę planowania, na postęp techniczny i podnoszenie kwalifikacji zawodowych, na podwyższenie jakości naszej produkcji, poddając krytyce braki i niedociągnięcia, XIV Plenum wskazało nie tylko drogę rozwoju naszej gospodarki, ale, co godne jest, szczególne podkreślenie, dało wysoką ocenę pracy, podkreśliło jej społeczne i moralne walory.

TADEUSZ PAPIER

„BAKALARZ” — nowa era klubów

Niewiele mieszkańców naszego miasta (oczywiście pomijając środowisko akademickie) wie, że oprócz renomowanej placówki studenckiej przy ul. Piotrkowskiej 77, działają w Łodzi kluby ZMS „Bakalarz”, „Futurysta” czy „Eskulap”. Trzeba przyznać, że dużo winy ponoszą za ten stan rzeczy same kluby ZMS. Nie potrafią zadbać o reklamę organizowanych imprez, często nie wykorzystują efektywnie swoich skromnych pomieszczeń, praca w środowisku ogranicza się do kilku przypadkowych imprez i wieczorów tanecznych. Tak było jeszcze przed dwoma laty. Jednak ostatnia weryfikacja Klubów ZMS wykazała ogromną zmianę w programowej działalności dotychczasowych placówek. Na pierwsze miejsce wysuwają się dwa studenckie Kluby ZMS — „Bakalarz” przy UL i „Eskulap” przy AM. Zaczęły śmiało wychodzić ze swą pracą na zewnątrz przejawiając wiele ciekawych, społecznie użytecznych inicjatyw kulturalnych i gospodarczych, organizując występy w zakładach pracy i cykle odczytów w szkołach ogólnokształcących. Działalność programu przestała być słabą stroną tych placówek, pozbawioną ambicji ideowej — wychowawczych. A właśnie ze słabości programowych wynikały dalsze słabe strony działalności klubów, przewaga form rozrywkowo — tanecznych, nieatrakcyjna i sche-

tryb leczenia, bez odrywania od obowiązków zawodowych, jest korzystny dla samych chorych, bo daje im lepsze samopoczucie psychiczne, co — jak stwierdzono w gruźlicy — jest jednym z podstawowych warunków skutecznego leczenia. Pracować jednak mogą tylko ci, którzy nie grożą zakażeniem swemu otoczeniu. Wygląda to pięknie, ale wśród tej grupy pracujących i leczących się chorych jest duża część takich, którzy pracują ponad swoje, ograniczone chorobą siły. Ludziom tym, w myśl ustawy przeciwgruźliczej, przysługują przerwy fizyczne w dobrych warunkach higienicznych. Powinni oni także korzystać z dodatkowych urlopów zdrowotnych.

Ala lżejsza praca wiąże się ze zmniejszonymi zarobkami. Kierownicy przedsiębiorstw zaś, niechętnie patrząc na pracowników „uprzywilejowanych” dodatkowymi urlopami, mało kto rozumie, że te

Wiele by można na te tematy napisać. Siłą, dla uproszczenia, staraliśmy się te problemy poszukiwać i walczyć w te szufladki całe grupy chorych. A przecież prawdą jest, że niemal każdy chory — to oddzielny problem. A wszystkie te problemy nie mieszczą się w ramach organizacji społecznej służby zdrowia i w granicach zakreślonych ustawą przeciwegruźliczą. Tak więc, mimo poważnie zmienionych warunków, znów znalazło się pole dla działalności społecznej. Poczynając od propagandy najpowszechniejszych i najszybszych środków profilaktyki przeciwegruźliczej (a tak — i to trzeba propagować, bo np. w Łodzi, z niezrozumiałych względów, ok. 20 proc. rodziców nie zgadza się na szczepienie swoich dzieci szczepionkami BCG) do pomocy chorym w domu, często po-

NA KAŻDE 10 tys. MIESZKAŃCÓW...

„przywileju”, wynikające z mocy materialnej, do wysz-

ustawy nie są aktem łaski i specjalnego wyróżnienia dla pewnej grupy ludzi, a są koniecznym warunkiem pomyślnego leczenia. Sami chorzy nie chcą, a czasem i nie mogą sobie na to pozwolić, by mniej zarabiali. Rezultaty są opłakane — zazwyczaj kończy się ponownym zastrzeżeniem i dalszym postępem choroby.

Jest jeszcze i ta druga część chorych. To ci, którym nie wolno pracować, względnie mogliby pracować, ale tylko w odpowiednich dla nich warunkach. W zmniejszonym wymiarze godzin, w dobrze wietrzonych i jasnych pomieszczeniach, bez większego wysiłku fizycznego. Dobrze by im taka praca zrobiła. I ze względów psychicznych i ze względów materialnych. No, ale gdzie takiej pracy dla nich szukać?

Inni przebywają na leczeniu, w szpitalach i sanatoriach. Wróć i znajdą się też wśród tej, wyżej opisanej grupy. Trzeba by i dla nich znaleźć jakąś lżejszą pracę, wielu z nich potrzebować będzie również pomocy materialnej, bo chociaż samo leczenie jest bezpłatne, to jednak i je trzeba i ubrać się...

BOLESŁAW LESMAN

matyczna forma imprez oświatowych, brak aktywności społecznej i oparcia klubów we własnym środowisku. Warto, żeby wszystkie kluby przekonały się i brały przykład z tych dwóch studenckich placówek. Podstawową funkcją klubu ZMS jest praca wychowawcza, służąca socjalistycznemu wychowaniu, zgodnie z założeniami ideowo — politycznymi Związku, uwzględniającą zainteresowania i potrzeby młodzieży. Wydział Propagandy KL ZMS występuje z jak najdalej idącą pomocą w działalności programowej studenckich klubów ZMS. Ostatnio opublikował materiały w sprawie udziału klubów ZMS w obchodach XX-lecia PRL i 550-lecia istnienia Łodzi. Biuletyn ten będzie pomocą dla kierownictwa klubów i aktywności studenckiej, w realizowaniu klubowego Czynu na XX-lecie PRL. Oto kilka form realizacji proponowanych przez Wydział Propagandy KL ZMS.

Podjęcie prac społecznych na rzecz klubu i środowiska (prace porządkowe na terenie przyklubowym, prace porządkowe — upiększające na terenie dzielnicy, miasta).

Prrowadzenie w klubach dyskusji o osiągnięciach gospodarczych, kulturalnych, społecznych i politycznych naszego kraju. Spotkanie z ludźmi XX-lecia PRL. Studenckie Kluby ZMS już od początku października kontynuują niniejszy program, jednak główny nacisk na działalność programową związaną z obchodami XX-lecia PRL zostanie położony w pierwszym kwartale roku 1964. Zachęcamy mniejsze kluby i świetlice studenckie do brania przykładu z „Zetemesowskiego”, „Bakalarza” i „Eskulapa”.

MIECZYSLAW
WOŹNIAKOWSKI



Kalokagat ia

Jest sprawa dla każdego zrozumiała, że stan sportu szkolnego zależy od wielu czynników, między innymi od tzw. bazy materialnej (wyposażenie szkół w odpowiednie sale, boiska, sprzęt) i kadry.

Jeżeli idzie o pierwszą sprawę, to stwierdzić należy duży postęp w szkołach na terenie m. Łodzi. Tak więc tylko w bieżącym roku oddano w szkołach do użytku 25 boisk (w tym 13 urządzono wysiłkiem społecznym), wydano 51 milionów złotych na doposażenie w sprzęt sportowy.

Poza tym obserwuje się wciąż rosnącą troskę o należytą konserwację sprzętu, sal i boisk, chociaż w niektórych szkołach wiele jest w tej dziedzinie do zrobienia.

— Z kadrami — również coraz lepiej. Przede wszystkim należy pamiętać, że nauczyciel, który ma kwalifikacje do podjęcia pracy w klasach I—IV szkoły podstawowej, ma te kwalifikacje do nauczania WSZYSTKICH przedmiotów, a więc i do w.f. również. A jeżeli władze szkolne organizują kursy w zakresie metody nauczania w.f. w klasach I—IV, to tylko dlatego, aby te kwalifikacje pogłębić i unowocześnić. Nie można więc mówić, że w klasach I—IV uczą nauczyciele nie posiadający specjalistycznego przygotowania w zakresie w.f. W takim samym bowiem stopniu można by im od mówić kwalifikacji do nauczania wszystkich pozostałych przedmiotów, a więc języka polskiego, matematyki itd.

W klasach V—VII większość nauczycieli w.f. już dziś ma dodatkowe kwalifikacje, a według planów Kuratorium do r. 1968 wszyscy nauczyciele będą mieli ukończone co najmniej Studium Nauczycielskie.

W szkołach średnich w zasadzie wszyscy nauczyciele w.f. mają ukończone studia wyższe. Rzecz zrozumiała, że sam fakt posiadania kwalifikacji już auto matycznie wszystkiego nie załatwia, ale jeśli styszy się jeszcze tu i ówdzie narzekania, że w jakiejś szkole nie jest dobrze z wychowaniem fizycznym i sportem, to trzeba jednak również widzieć duży wysiłek i serce, jakie większość nauczycieli tej specjalności wkłada w swą pracę. Należy bowiem pamiętać o ich osobistym zaangażowaniu w organizację wszelkich zawodów, imprez urządzanych najczęściej w sobotnie popołudnia i niedziele, a pochłaniających b. wiele (nie opłacanego przecież) czasu.

Jeśli już mowa o imprezach sportowych dla dzieci i młodzieży, to stwierdzić należy z dużym zadowoleniem, że i na tym odcinku nastąpiła korzystna dla zmiany: władze szkolne względnie Szkolny Związek Sportowy albo same te imprezy organizują lub synchronizują i koordynują imprezy inicjowane

Sportowe powstały we wszystkich szkołach, które systemem ligowym rozgrywały zawody w różnych dyscyplinach. W zawodach lekkoatletycznych startowało 50 drużyn, w „lidze” szachowej 15 drużyn, w „lidze” piłki ręcznej po 20 drużyn.

W turnieju siatkówki „Dziennika Łódzkiego” i ZMS bierze udział 450 drużyn! W czworobój lekkoatletycznym szkół podstawowych (kl. V—VII) startowało blisko 38 tysięcy chłopców i dziewcząt, tj. 84 proc. ogólnej liczby uczniów. W Biegach Narodowych uczestniczyło 11.500 chłopców i dziewcząt.

Szkolili się przyszłych działaczy sportowych, sędziów a nawet „sprawozdawców radio wch”.

To wszystko cieszy i napawa optymizmem. Ba, jeżeli są jeszcze szkoły, gdzie sprawa wychowania fizycznego nie jest do ceniana, to jest ich chyba nie wiele i z roku na rok będzie ich coraz mniej. Gdyby nie...

Właśnie! Gdyby nie szkoły przyzakładowe i międzyzakładowe. Tak, zakrawa to na gorzki paradoks, że ta młodzież, która uczy się i pracuje, jest w dzie-



dzinie kultury fizycznej zapomniana. Jest też młodzież w naszym mieście 11,5 tysiąca. I wprawdzie ma ona lekcje w.f., ale pozbawiona swoich przyzwyczajeń budynków szkolnych nie ma, praktycznie biorąc, warunków do uprawiania sportu, nie należy do żadnych organizacji sportowych. Czy tak być musi, czy tak być powinno?

Przecież ta młodzież jest za trudniona w zakładzie na podstawie umowy zbiorowej, należy do związków zawodowych.

Przy każdym zakładzie istnieje jakiś klub sportowy, są fundusze. A tymczasem: w 3 szkołach wielokrotnie przy Zakładach im. Dzierżyńskiego, 1 Maja i A. Struga na 1.152 uczniów tylko 80 uprawia sport!

A kluby nasze nierzadko na brak narybku... Wydało mi się, że te sprawy powinny wreszcie wpaść do serca powołane do tego instytucje, których tu palcem wskazywać nie będę.

Nim zakończę ten artykuł, jeszcze jedna uwaga: niewątpliwie duża poprawa, jaka społeczeństwo łódzkie obserwuje w dziedzinie sportu szkolnego, byłaby nie do pomyślenia bez bardzo dużej pomocy LKKiF, pras, zwłaszcza Dziennika Łódzkiego i Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia.

Chodzi również chyba o to: by dotarło to już do wszystkich instytucji, a zwłaszcza do osób instytucjami tymi kierujących, że władze szkolne, że to szkoły mają obowiązek czuwać nad wychowaniem młodego pokolenia. Zawsze i wszędzie, a więc w sporcie również. I że sport jest jednym z elementów kultury fizycznej, wychowania fizycznego.

A wychowanie, to jak wiadomo, proces złożony, to „planowo oddziaływanie na rozwój duchowy i fizyczny istoty, która ma się w opiekę” (Podrecznik Słownika Języka Polskiego). Nad tym, by rozwój ten był planowy i wszechstronny, a więc obejmował zarówno sferę ideowo-moralną, intelektualną, witalno-estetyczną i hart fizyczny, czuwać winna PRZEDZIE WSZYSTKIEM SKOŁA.

Zadanie to również, zaszczepione odpowiedzialnie. Trudność polega między innymi na ustaleniu właściwych proporcji owych różnorodnych, a niezbędnych elementów, na wyważeniu właściwych proporcji. Izbę wychowania stało się interaktywnym stopniem piękna, rozum i dobra. Ten właśnie ideał starożytni Grecy nazywali kalokagatía.

odpisy str. 7



przez prasę, organizacje dziecięce lub młodzieżowe i inne.

Dzięki temu unikamy chaosu, dublowania wysiłków, „wydaje sobie młodzież, sal, terminów itp.

Generalną linią działania jest upowszechnianie sportu, objęcie nim jak najszerszych rzesz młodzieży. Wyraża się to choćby w przeprowadzaniu co roku współzawodnictwa szkół podstawowych i średnich (ogólnokształcących i zawodowych) w usportowieniu. Za podstawę, oczywiście bierze się nie indywidualne wyniki zawodników. Każda szkoła wykazuje, jaki procent jej uczniów zdobył „Młodzieżową Odznakę Sprawności Fizycznej” lub tzw. „Złotą Olimpijską”, jaki procent uczestniczył w tego typu imprezach masowych, jak wielość je lekkoatletyczne, Biegi Narodowe itd.

Nad wyczynem pracują z młodzieżą wybitnie uzdolnioną Międzyszkolne Kluby Sportowe. Wyniki takiego działania już są widoczne: Szkolne Kluby

odgłosy

TYGODNIA

Melpomena na kółkach

Już ponad 2 miliony kilometrów przejechały samochody Teatru Ziemi Łódzkiej, czyli trasę równającą się 44 okrężniom Ziemi. W swoim dziesięcioletnim dorobku — łódzki teatr powstał jako jeden z pierwszych tego typu teatrów w Polsce — ambitny, ofiarny i pracowity zespół ma bardzo wiele pięknych osiągnięć: 44 premiery, 5.900 przedstawień, które obejrzało ponad półtora miliona widzów. W jednym tylko sezonie 1962-63 zespół przygotował 8 premier, dał 519 przedstawień dla blisko 126 tysięcy widzów w... 410 miejscowościach.



PIĘKNA AKCJA

Tradycyjnym już zwyczajem również i w tym roku KU ZMS i RU ZSP przy Politechnice Łódzkiej przeprowadziły akcję informacyjną wśród maturzystów z terenu województwa. W dniach 12-21 listopada br. 84 studentów w trzech marszrutach odwiedziło 23 szkoły w 12 miejscowościach woj. łódzkiego. Z informacji dotyczących studiów wyższych w Łodzi skorzystało 1200 uczniów.

Dzięki życzliwemu zainteresowaniu akcją ze strony Prorektora PL prof. dr M. Serwińskiego i dr J. Aulicha wzięło w niej udział również 10 pracowników naukowych Politechniki.

Szkoda tylko, że inne łódzkie uczelnie nie włączają się do podobnych akcji.

BILANS ROKU

Wojewódzki Zarząd TPPR ma na swoim koncie wiele osiągnięć: koncerty w terenie (m. in. występy artystów z Nowosybirsk), spotkania z przedstawicielami Ambasady Radzieckiej, z aktorami, pisarzami itp. Najżywiej współpracują z TPPR powiaty: Radomsko, Łęczyca, Brzeziny, Kutno i Łódź; domy kultury: Łęczyca, Łask, Wieruszów, Wieluń; biblioteki powiatowe: Kutno, Łódź (powiat), Skierniewice, Tomaszów; szkoły: Technikum Mechanizacji Rolnictwa Wdzew — Zdżary i Technikum Rolnicze w Bliżu, licea ogólnokształcące: Koluski, Pabianice (nr 2); licea pedagogiczne: Tomaszów Maz. i Zduńska Wola.

Prosimy

O

zgłoszenia

W roku szkolnym 1962/63 pracowało w szkolnictwie podstawowym na terenie województwa 8.616 nauczycieli, z czego 22 proc. posiadało kwalifikacje w zakresie SN lub studiów wyższych. W roku 1963/64 procent nauczycieli z wyższymi kwalifikacjami podniósł się do 28 (z tego na wsi około 20 proc.). Odczuwa się brak nauczycieli takich przedmiotów jak fizyki, chemii, matematyki, języka rosyjskiego, zajęć praktyczno-technicznych i muzyki.



stych wspomnień wojennych z zachodniego frontu (w czasie I wojny światowej prof. Janod był oficerem artylerii w armii francuskiej). Łatwo dawał się wciągać w nasze siła i w ten sposób niejedna lekcja nam się upiekła. Na usprawiedliwienie trzeba dodać, że opowiadał w języku francuskim. Lecz nie zawsze podstęp się udawał. Wówczas profesor pytał z zadanej lekcji właśnie ucznia, który najgłośniejszym upomniał się o gawędy wojenne. Taki kolega zwykle był nie przygotowany do odpowiedzi i tu następowała „wyspa”. Chytry Francuz dobrze sobie z tego zdawał sprawę. „Oul — oul mon garçon tu es poli; tu es poli, mais... tu ne sais rien”. I... kończyło się „dwójka”.

(Kronika I Liceum im. Kopernika w Łodzi, 1906-1956).

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



EUGENIUSZ KAMIŃSKI

Ukończył łódzką PWST, „Dziękuję kaczce”, następnie po czym przez trzy kolejne sezony oglądaliśmy go na deskach Teatru Nowego. Grał dużo — wspomnijmy chociażby Leartesa w „Hamlecie” — a jednocześnie z powodzeniem występował na estradzie, będąc jednym z filarów uroczego kabaretu „Poddasze”. Potem wyjechał, pracował w Poznaniu (tam m. in. zagrał Hansa w „Ondynie” Giraudoux) i Krakowie, aby w sezonie minionym powrócić do rodzimego Teatru Nowego. Tu znakomicie zagrał Hljamara w

„Dziękuję kaczce”, następnie po czym przez trzy kolejne sezony oglądaliśmy go na deskach Teatru Nowego. Grał dużo — wspomnijmy chociażby Leartesa w „Hamlecie” — a jednocześnie z powodzeniem występował na estradzie, będąc jednym z filarów uroczego kabaretu „Poddasze”. Potem wyjechał, pracował w Poznaniu (tam m. in. zagrał Hansa w „Ondynie” Giraudoux) i Krakowie, aby w sezonie minionym powrócić do rodzimego Teatru Nowego. Tu znakomicie zagrał Hljamara w

Eugeniusz Kamiński współ pracuje poza tym z filmem, radiem i telewizją — przypomnijmy dla przykładu jego doskonałą rolę w „Przytrakcie” Czechowa.

Tekst i zdjęcie
GERARD PUCIATO

Następny, podwójny (51-52) numer tygodnika „ODGŁOSY” przyniesie szereg interesujących materiałów prozę, felietony itp.

Ponadto:

dwa
ŚWIĄTECZNE
KONKURSY

Szereg cennych nagród m. in.:

aparaty radiowe
aparaty fotograficzne

odgłosy

TYGODNIK

ZYGMUNT FIJAS

ARTYKUŁ ZAMIAST WYPOWIEDZI NA ANKIETĘ

Szanowny Panie

Redaktorze!

Jeszcze we wrześniu otrzymałem zaproszenie do wzięcia udziału w drukowanym przez Wasz tygodnik cyklu „W pracowniach pisarzy”. Chociaż czas pracuję za nas, jak mówi niemożliwe w ostatnich czasach „powiedzenie” czyli modne ostatnio słowo „porzekadło” (tak modne, jak modny stał się ostatnio sposób wymawiania wyrazu „krajobraz” — nie na jednym ciągu językowym, lecz z lekką pauzą: a więc „kraj...obraz”; jeśli „kraj...obraz”, to dlaczego nie widn...okrag”, „faj...ans”, niby, że to od „faj” — i od „ansy”), chociaż czas pracuję za nas to jeszcze ten rodzaj pracy nikomu artykulu nie przypisał... Trzeba zakasać rekawy i rękodzieło publicystyczne wykonać samemu.

A więc co do moich ostatnich wydanych książek, to już Jan Huszcza w „Odgłosach” (kilka tygodni temu) był łaskaw poinformować, ile tych książek wydano: że od roku 1945 tylko jedną (po ciężkich przygodach, dodajmy), która według niego, jest jeszcze do nabycia w księgarniach, w drugim wydaniu, zaś według mnie: nie można jej wypożyczyć w żadnej wypożyczalni łódzkiej, mimo, że miała niekiedy niezłe recenzje (samo „przebieg” Huszczy w „Twórczości”), jak np. Jerzego Wyszomirskiego w „Dzienniku Łódzkim”, w „Łodzi Literackiej”, w „Odgłosach”; już nie mówiąc o ocenie dokonanej w „Szpilkach” i warszawskiej „Trybunie Ludu”. Więc dla jakich łódzkich czytelników bibliotecznych pisać, skoro wielu słuchaczy radia — i po chłaniaczy prasy, i słuchaczy — moje prace przyjmuje, a nie stęty książeczki tej na półkach bibliotecznych nie ma, zaś miejsca przeznaczone dla jednego satyryków łódzkich świecą pustkami...

Nie dziwnego, że Huszcza — mając na koncie sporo wystąpień w tej sprawie (razem z Janem Czarnym, w stolicy też) — i kiwając smutnie głową, дума o możliwościach utworzenia w mieście Łodzi pisma satyryczno — rozrywkowego...

Stawia się zarzut „trudności” satyry. Że to niby robotnik jest głupi — stary, mądry robotnik łódzki, oglądany niekiedy przez okna kawiarni „Grandka”; że nie rozumie nic... Zupełnie nie.

Dla wyjaśnienia podaję, iż wielu z nas wywodzi się w prostej linii od chłopów i robotników, sami robotnikami byliśmy, mamy rodziny złożone z samych robotników i chłopów, dla kogoż więc te bajeczki, mające być upozorowaniem dla własnej niemości — i ślizgania się na obu obcasach po zyskowych la-twinach? Jak powiada przedwojenna pieśń, napisana przez starego komunistę z grupy wileńskiej, Jana Kapale, działającego także i w Łodzi, w „Chłopskim Życiu Gospodarczym” (pseud. Korzekwa Jan i inne), robotnik, chłopie, zbudź się, zbudź!

A przecież nie tylko wywodzi się w prostej linii od tych, dla których żyjemy i piszemy, ale prawie codziennie mamy z nimi do czynienia — i wiemy, co mówią i myślą o tym, o czym nie myślą — ci, co może wcale nie myślą.

Skąd ten wyskok w mej wypowiedzi?

Śląd, że po prostu chcieliśmy mieć coś do powiedzenia na miejscu, a nie szukać szpalt do wypowiedzania się w innych miastach, lub... emigrować do nich, żeby to miejsce zostało dla zespołów rodzinnych, opartych na związkach krwi.

A przecież mnóstwo tu jest rysowników, nie spożytkowanych przez pisma, tylu jeszcze jest ludzi plóra, i nie związkowych także; pismo samo się redaguje; wystarczy palec wyciągnąć — a ma się całe kolumny, pełne — nie szpiegostw, lecz rzeczy istotnych... A przecież chodzi także o rozwijanie się własnych możliwości, nawet wśród błędów. Trudno: jesteśmy ułomni, ale pełni zapału do dobrego.

Co wydać? Tamtego roku podpisałem umowę, czy może raczej wstępą część umo-

wy, z Wydawnictwem Łódzkim: o wydanie drugiego zbiorku satyr i humoresk pod roboczymi ew. tytułami „O szkodziwości kominów”, „No-sy na zamówienie”, „Jutro też będzie dzień! Też będą imię-niny Jadwigi”. Ma to być książeczka licząca dziesięć, a może więcej arkuszy wydawniczych; a więc tyle, co reklamowania przeze mnie w tej chwili, a nie istniejąca dla bibliotek łódzkich książeczka „Portret z sera”. Znajdą się w niej prace, nawet drukowane w dawnych „Szpilkach”, dawnej łódzkiej „Kuźnicy”. Może nieaktualne?... Ale skądże?... Ciągłe aktualne jak na przykład „Zwierzęta patrzy na ciebie” albo „Mój system katastroficzny”.

Jakie mam plany? Wydawnictwo Łódzkie nie da zrobić krzywdy sierocie bez ojca i matki i wyda: i zbiorek prozy poetyckiej, której część drukowałem swego czasu w „Twórczości” (razem z Huszczą i Lecem, a jakże nie!), Wyda kiedyś zbiorek może zabawnych reportaży — i sędziwych, ale nie głupkowatych felietonów — satyr (jest to humor dla poważnych)... Może „Opowiadań” jak „Bal handlarzy jęczmieniem” itd... Może, przeznaczonych dla zabawy w głupiego, ale mądrego, pure nonsensownych satyr; częściowo drukowanych w „Odgłosach”, częściowo przed wojną, kiedy podobal mi się trochę cyrk Gombrowicza (on tak nazywa „Fer-



Zygmunt Fijas

dydurke” w swym „Dzienniku”, podobały mi się jego śmiałe pomysły humorystyczne, satyr drukowanych w krakowskim przedwojennym miesięczniku póławangardowym — satyr drukowanych w ilości sześćdziesięciu stron maszynopisu pt. „Balasam golibroda, król Morii; czyli Raj Głupców”.

A przecież jeszcze — jak Hemingway w safesach dla swych dzieł — mam powieść o emigrantach wewnętrznych, której fragmenty ogłaszałem w radiu i prasie literackiej: ona leży, bo prace felietonisty i związane z nią tańce około — przed — i po — etapowe nie pozwalają doprowadzić do ostatecznego szlif tej powieściowej zabawy — nie zabawy z emigrantami wewnętrznymi (to jest mój termin, Brandys go pożyczyl ode mnie, tego nie zaprzeczy), zabawy — nie — zabawy, co nosi tytuł „Z kroniki miasta Rogożyna” lub „Studnia świętego Floriana”. O niej, o tym szkicu powieści, powiedział Wojciech Zukrowski, w Łodzi, do Hieronima Michalskiego i kolegów krakowskich w mojej przytomności umysłu (Zukrowski zna tę rzecz z czytania na wieczorku krakowskim, odby-tym na ławce). „Ten stary du-reń — niby ja — lubi pisać powieści przez czterdzieści lat”.

Poza tym w roku 1964 wychodził nakładem „Czytelnika” tom wspomnień krakowskich, na które złożyła się praca Wyki. Przybysia, Filipowicza, Kruczkowskiego itp. i mo-je.

Tyle, Panie Redaktorze!

Miała być jedna tyżeczka wy-powiedzi, a jest jej całe wiadro. Ale co robić? Życie nie jest romansem... Zamieszczając te kolubrynawata wypowiedzi święci Pan — razem z innymi kolegami — satyrykami osiem-nastoletnie naszej pracy satyryczno — rozrywkowej w mieście Łodzi. Razem mamy około dwadzieścia lat zmagani. Należy się nam pamiłk, chociażby grupowy, jak „Mieszcza nie z Calais” Rodina... Może się doczekamy!